# Samuel ze Skrzypny Twardowski
## i jego poezya na tle współczesnem.

(Ciąg dalszy).

### Epika historyczna.

Rymowane historye: „Przeważna Legacya“. — „X. Wiśniowiecki Janusz“. — „Władysław IV.“ — „Wojna Domowa“. — Zakończenie.

[Przeważna Legacya Jaśnie Oświeconego Książęcia Krzysztofa Zbarazkiego, koniuszego koronnego, krzemienieckiego, soleckiego, wiślickiego, rubieszowskiego etc. starosty, od Naiaśnieyszego Zygmunta III. króla Polskiego y Szwedzkiego do Napoteżnieyszego Sołtana Cesarza Tureckiego Mustafy w roku 1621,[1]) na pięć rozdzielona punktów z dotknieniem krótko przez ucieszne digressye stanu pod ten czas rządów, ceremony y zwyczaiów pogańskich. Kraków: 1633,[2]) str. 241. — Kraków, Franciszek Cezary: 1639;[3]) Wilno, Soc. Jesu: 1706;[4]) Kraków, wyd. Turowskiego: 1861.]

---

[1]) Na wszystkich wydaniach umieszczono tę mylną datę. Legacya odbyła się w 1622 r. nie w 1621. — Estreicher podaje w bibliografii XVII. w. wyd. „Legacyi“ pod r. 1621; oczywiście przez omyłkę.

[2]) Biblioteki: Dzikow., Jag., Kras., Ossol., Uniw. lwow., wrocławsk.

[3]) Branic., Czartor., Jag., Uniw. warsz.

[4]) Chrept., Bran., Czart., Dzikow., Jag., Kras., Ossol., Przezdz., Wileń. Ak. Um., Un. warsz.

Geneza: czas i warunki powstania. — Układ i treść. — Wartość historyczna. — Znaczenie „Legacyi“ dla współczesnych. — Z artystycznego punktu widzenia.

Stanisław Żółkiewski, znakomity hetman, nieskazitelny i czysty jak łza charakter, złożył sędziwą głowę na polach cecorskich, śmiercią swoją domagając się krwawego odwetu na tureckim najeźdzcy. Niestety jednak zbyt małe siły zebrały się w rok po jego zgonie w okopach chocimskich, ażeby szukać należytej zemsty i znaleźć ją. Sprzymierzone wojska polskie i kozackie musiały zatoczyć koliste wały i bronić się więcej niż nacierać, bo wielka armia sułtańska, rozsunąwszy się w potworne szczypce, z łatwością zdołała zamknąć oba olbrzymie ramiona. Szczęściem nie potrafiła doszczętnie zacisnąć śmiertelnego wieńca i w konwulsyjnych próbach nieudałych ataków doczekała się jesiennych deszczów i tak strasznej pluchy, że żołnierz przygnany z południa stracił zupełnie hart i broń wypuszczał z ręki. Rozpoczęto układy. Sułtan oporny był i wzdragał się długo, za to przekupny wezyr, „w którym ta wżdy cnota była wielka, że wiele rad czynił dla złota“, [1]) swoim wpływem doprowadził w końcu do rozejmu, a dla zatwierdzenia paktów miała Rzplta wysłać do Konstantynopola wielkiego posła.

Król powierzył tę ważną misyę Krzysztofowi Zbarazkiemu, który w rok po chocimskiej potrzebie ruszył z licznym orszakiem w daleką i niebezpieczną drogę. Twardowski, jako przyboczny sekretarz księcia, brał udział w wyprawie pełnej przygód, a co widział i słyszał, w prywatny dyaryusz wpisywał skrzętnie dla pamięci.

Odniesione wrażenia niewątpliwie silne, cały łańcuch ciekawych wypadków, niezwykłe widoki nieznanych ludów, obcych zwyczajów, krajów odległych, ważność samego poselstwa, żywa aktualność wszystkiego, co się tyczyło Turcyi, wreszcie cześć i podziw dla księcia Zbarazkiego skłoniły Twardowskiego do przerobienia surowego materyału prozaicznych notat w „ojczyste heroicum“, któreby choć bez wielkich pretensyi dźwiękiem wiersza i płynnością poetyckiej mowy wdarło się do serc czytelników i w ich wyobraźni utrwaliło obraz bohatera poematu, księcia Krzysztofa.

---

[1]) Leg. punkt I.

Nie zaraz jednak po powrocie z Konstantynopola (1623) zabrał się Twardowski do pisania „Przeważnej Legacyi". Upłynęło lat kilka, zanim zawierzywszy swoim twórczym zdolnościom i przez przyjaciół otuchą zagrzany przekuł dyaryusz w poetyczną formę i zachęcony przez możnych znajomych[1]) wydał w roku 1633. „Legacya" powstawała bezwarunkowo po śmierci księcia Krzysztofa (1627), czego dowodzi choćby sam początek poematu, a skłaniałbym się do przypuszczenia, że nawet po śmierci Jerzego (1631), bo w przeciwnym razie nie rozwodziłby się nad zupełnem wymarciem rodu Zbarazkich.[2])

Oprócz wyżej wymienionych pobudek jeszcze jeden zamiar stał przed oczyma Twardowskiego w czasie pisania „Legacyi". Książę Krzysztof przekonawszy się o wewnętrznym rozstroju Turcyi, z osobistej obserwacyi zapewniał króla i senat, że przy energicznej akcyi możnaby zdusić potęgę Stambułu raz na zawsze. Ale gdyby nawet Zygmunt III., jak późniejszy Władysław, podjął był myśl Zbarazkiego, to szlachta stawiłaby opór nieprzełamany i wielkie plany spełzłyby na niczem. Oddziałać na opinię szlachty, zaświecić jej dokumentem naocznego świadka tureckiego rozprzężenia, dać świadectwo, jak próchnieje potęga sułtana, oto chęć Twardowskiego, wprawdzie nie wypowiedziana wprost, ale widoczna. A przez ten zamiar, przez ten cel przy pisaniu, nabiera „Legacya" cech obywatelskiego czynu.

---

Rzecz cała dzieli się na pięć pieśni, które „punktami" się zowią. Punkt pierwszy tworzy niejako wstęp, bo zapoznaje nas z właściwym bohaterem poematu, tudzież rozwija tło historyczne oznaczając czas, okoliczności i przyczynę poselstwa. Punkt drugi zawiera opis podróży i pierwsze trudności przy wjeździe do Konstantynopola. Punkt trzeci opowiada o układach i sprzeczkach z wezyrem. Punkt czwarty jest kulminacyjnym momentem akcyi. Przyjęcie u sułtana, dalsze układy z wezyrem, rozbicie się wszystkiego o podstęp wezyra, który na wielkiej radzie tureckiej nasadza mówcę żądającego uwięzienia księcia, — niebezpieczeństwo

[1]) Leg. „Do czytelnika".

[1]) Mówi też o ks. Jerzym: „Widzieliśmy go, jak stał na wysokim lichtarzu korony".

życia grozi poselstwu. Punkt piąty przynosi rozwiązanie. Nowy wezyr, nagle obrany, zawiera pokój, a książę wraca do Polski.

Rozwińmy rdzeń treści nieco dokładniej i szerzej.

Hołd dla pamięci księcia Krzysztofa i genealogia domu Zbarazkich rozpoczynają poemat. Następuje opis życia bohatera, nauk w kraju i zagranicą, służby publicznej i wojennych przewag. Potem klęska cecorska i potrzeba chocimska, negocyacye pokojowe za pośrednictwam greckiego kupca Wewelego.[1]) opór sułtana, rzeczywista obietnica podarunków i podstępna rocznego trybutu. Zawarcie pokoju kończy punkt pierwszy.

Następują przygotowania do podróży Zbarazkiego, wymarsz, ostrożny pochód z obawy tatarskiego napadu i band zbójeckich, spotkanie za Prutem z hospodarem wołoskim, Tomszą, który ich potem podejmuje w Jassach. Dalsza droga do Multan, gdzie znowu gości ich hospodar tamtejszy, Raduł. Przez Rumelię i Bułgaryę do Konstantynopola. Pięciodniowe czekanie pod miastem, bo kwatery polskie zajął był poseł czeski, Turno. Odwiedziny posłów chrześcijańskich i pierwsza zwada z wezyrem Dżiurdżim, który domaga się bezowocnie myta od kupców przy poselstwie.

Punkt trzeci rozpoczyna wspaniały wjazd. Książę rozsyła bogate upominki. Wezyr pragnie wojny, a znając pokojowe usposobienie wojska, chce podstępnie posła zmusić do zerwania układów. Książę z własnej szkatuły opędza koszta utrzymania kilkuset ludzi poselstwa. Pierwsza audyencya rozbija się o upór wezyra. Zaczyna się obustronne przygotowywanie opinii, co się udaje niezgorzej księciu przez podarki. Druga audyencya wskutek tego spokojniejsza i naznaczone oficyalne przyjęcie u sułtana.

W następnej pieśni jest złożenie upominków sułtanowi i uczta. Ale Dżiurdżi żąda haraczu, niby pod Chocimem warowanego, bo inaczej pozwoli janczarom samym brać. Gotowość wojenna poselstwa. Znowu audyencya u wezyra. Książę korzystając z wieści, że Turcy zgubili swój odpis traktatów chocimskich, zmienia je nieco mimo niebezpieczeństwa podobnego kroku. I tak wyrzuca stałego agenta przy dworze sułtańskim, bo uważał to za próżny wydatek i hańbę; dalej w Chocimiu ma być nie tureckie, ale wołoskie prezydyum; posłowie mają być szanowani, kupcy przy wielkich poselstwach uwolnieni od myt. Wezyr zwleka, odkłada, żmudzi. Zaburzenie osadza na wezyracie chwilowo Dauda.

[1]) Szajnocha (Szkice historyczne) powiada, że Wewelli był Włochem.

Rychły upadek Dauda, Dżiurdżi wraca do władzy. Na wielkiej radzie, jeden spahia podmówiony przez niego stawia wniosek, ażeby uwięzić księcia, aż się zbada, czy on jest posłem króla i Rzpltej, czy tylko Rzpltej. Niebezpieczeństwo życia grozi wobec tego całemu poselstwu, tem bardziej, że janczarowie złudzeni obietnicą haraczu mogli lada chwila urządzić zbrojny napad na kwatery.

Nagle przyszedł ratunek. Dżiurdżi zrzucony; Husseim wspomożony wpływami i pieniędzmi księcia, opanowuje wezyrat. Swoją drogą nielada fantazyi trzeba było, żeby nie mogąc dojść do ładu z jednym, poprostu zmienić sobie wezyra. Z Husseimem sprawa poszła gładko. Książę wykupił trzech polskich więźniów własnym kosztem. Pokój zawarto. Po pożegnaniu z sułtanem i bardzo przyjaznem z wezyrem, ruszył Zbarazki szybko w drogę, bo zachodziła obawa, że Dżiurdżi znowu wróci do władzy. Stało się to rzeczywiście, ale poselstwo było już w Siedmiogrodzie. Książę z domu pospieszył na relacyę do Warszawy, a odebrawszy od sejmu i senatu publiczne podziękowanie, do Końskowoli powrócił. W r. 1626 jeszcze stawił się na sejm toruński, ale niedługo życie zakończył.

---

Wartość „Legacyi" jako historycznego źródła jest niezaprzeczona. Naoczny świadek pisał może nieco stronniczo, koloryzował nieco stosunki na korzyść Polski, ale były to czasy współczesne, więc objektywny spokój utrzymać, zwłaszcza dla szlachcica odczuwającego wszystko patryotycznem sercem, stało się niepodobieństwem. Natomiast sumienność Twardowskiego i fakt, że nie odtwarzał opowieści z zawodzącej często pamięci, lecz opierał się na szczegółowych notatkach dyaryusza, są rękojmią wiarygodności, zwłaszcza, jeśli się przypomni, jak Twardowski za cel poezyi obrał sobie: „prawdę w ludzi wdzięcznym wierszem wmawiać".

Książka Chometowskiego Władysława: „Książe Krzysztof Zbarazki" (Warszawa 1866) jest od jakiejś 34 do 68 strony jakby rozszerzonem, a gdzie potrzeba zwężonem opowiadaniem w ramach „Legacyi". Oprócz tej bowiem źródłem do historyi owego poselstwa jest jeszcze wprawdzie „Narratio legationis Zbaravianae et rerum apud Othomanos anno 1622 gestarum",[1]) ale jej autor,

---

[1]) Dantisci, apud Georg. Forsterum 1645, in 12°.

Samuel Kuszewicz, opierał się właśnie na „Przeważnej Legacyi“ i tylko przerabiał wiersz na prozę.[1]) Po za tem jest „Relacya poselska“ [2]) samego księcia Krzysztofa oczywiście pod niektórymi względami wyższa, posiada jednak pewne braki tak, że dopiero razem z „Legacyą“ uzupełnia się w całkowite, wyczerpujące źródło. W „Relacyi“ [3]) podróż jest pominięta, wjazd do Stambułu tylko ze strony politycznej opisany, szczegóły prywatne opuszczone, natomiast są wiadomości większej wagi, tyczące się stosunków obu państw i przez to stanowiące materyał do historyi polskiej dyplomacyi. Zgodność „Relacyi“ z „Legacyą“ rozciąga się aż do dokładnej treści przemów, a jeśli są różnice, to zbyt drobne, żeby na nie zwracać specyalną uwagę.

Znaczenie „Przeważnej Legacyi“ dla współczesnych było wielkie. Przedewszystkiem musiała ona być bardzo poczytną, najpierw dla tego, bo zawierała ciekawy temat obrobiony dobrze, a potem dla tego, ponieważ tytuł obiecywał oprócz opisu samego poselstwa jeszcze coś. Oto powiada: „z dotknieniem krótko przez ucieszne digressye stanu pod ten czas rządów, ceremoniy y zwyczaiów pogańskich“. Dla szlachty XVII. w. atrakcya ogromna. Południowo-wschodnia ściana Rzpltej wiecznie od Turków i Tatarów była zagrożona. Ciekawa myśl wybiegała zawsze po za kwieciste stepy Ukrainy aż do Krymu i poprzez bukowińskie lasy i pełny zdrad kraj Wołochów do bałkańskiego półwyspu. Mieszkaniec ruskich województw nieraz z drżeniem pomyślał, że jeśli ogarnie go kiedy rozbójnicza orda i zagnawszy przy koniu do swych komyszy, potem zaprzeda w turecką niewolę, że wówczas będzie musiał rad nie rad poznać i owe kraje i ludzi, na własne oczy zobaczyć wiele nieznanych rzeczy i gorzkie łzy wylewać. Jakoż rodziła się zaraz ciekawość, jak i co tam jest. Każdy wiedzieć pragnął, co go czekać może, żeby niespodzianka nie była równie

[1]) Dzieło Kuszewicza przetłumaczył Wojciech Wolski i wydawał w kalendarzach krakowskich (1693—1702).

[2]) W rękopisie w zbiorach Świdzińskiego. Bibl. Krasiń. w Warszawie.

[3]) Była drukowana dopiero w „Dzien. wileń.“ 1827. Hist. i lit. t. III.

nagła jak straszna. Z drugiej strony mieszkańcy dalej na północ i zachód położonych ziem, również radzi byli usłyszeć, jaki jest ten utrapiony wróg, który sporadycznie z dziką zajadłością rzucał się na Rzpltą, a potem cofał, gojąc otrzymane rany i nabierając tchu do nowego, namiętnego napadu. Cała Polska słała młódź na owe kresy, cała Polska musiała pragnąć, ile można najwięcej, wiadomości o dziedzicznym i dziedzicznie strasznym wrogu. Ztąd poczytność dzieła Twardowskiego, które w r. 1639 wychodzi w nowym nakładzie. Ztąd Kuszewicz może w parę lat potem drukować łacińską, prozaiczną przeróbkę „Legacyi", swoją „Narratio", która również w dwóch wydaniach obiega Polskę (1645 i 1653). Ztąd i inni historycy i poeci, którzy pióro i pracę tamtym stronom poświęcali, mieli zapewniony popyt. Zwłaszcza Twardowski przynosił społeczeństwu dość dużo. Nie dawał wprawdzie z rozmysłem ułożonego opisu Turcyi, ludzi i obyczajów tamtejszych, bo to w dziele, którego oś stanowiła opowieść o poselstwie, było niemożliwością. On tylko przygodnie poruszał różne kwestye, bez porządku i ładu, ale za to poruszał ich wiele. Nie do wszystkiego doszedł sam, własną obserwacyą i badaniem na miejscu. Znaczną pomocą była mu książka Busbecq (Boussebecques): „Itineraria Constantinopolitanum et Amasianum" (Antwerpia 1582), z której sporo zaczerpnął szczegółów i nieco ogólniejszych poglądów.

Jest w Twardowskim trochę geograficznych objaśnień o Turcyi całej, jest nieco typografii, są wzmianki o florze i faunie i o ludach mieszkających na Bałkanie. Do Konstantynopola poselstwo jechało dość żwawo, nie było więc czasu na dokładniejsze studya. To też o obyczajach ludów spotkanych w drodze jest mało; tu i ówdzie jakaś wzmianka, jakiś szczegół, który widział przypadkiem. Potem opis samego Stambułu, przedmieść i portu, domów, meczetów, pałacu sułtana; jest o seraju, najwyższych urzędnikach, wojsku, najwyższym kapłanie (mofti'm), o szkołach, obyczajach, religii, obrzadkach, skrytem pijaństwie Turków, o ich potrawach, (dla których ma rzetelną pogardę), ich wewnętrznym nierządzie, burdach, niełądzie, bezprawiach. Uderza go chciwość Turków, nieznająca żadnych granic:

„Złotem serca pogańskie uniosą się snadnie,
Złoto śrzodkiem Janczarów zbroynych się przekradnie,[1])

[1]) Kochanowski, Pieśni ks. I. p. 6, w. 9 brzmi: „Złoto śrzodkiem Janczarów zbrojnych pójdzie snadnie".

Złoto ich dzikość miękczy, złoto gniew nadyma,
Złotem się y sam Cesarz na tronie swym trzyma.[1])

Robił Twardowski także wycieczki w okolice Konstantynopola, oglądał grobowce, rozpytywał o napisy, słowem starał się o jak najszersze wiadomości i liczne szczegóły.

Zdarzających się gdzieniegdzie omyłek nie można mu brać za złe. Dunajowi każe na 50 str. wypłynąć z gór szwajcarskich. Bagatela. O Wenetach (Wenecyanach) sądzi, że jednego z nami są narodu. Trudno go winić. Powtarza za Busbecq'em między innemi dykteryjkę, dla czego Mahomet zakazał wino pijać, dodając, że „insze maią kryminały y baśni", które milczeniem pomija; za to daje ogólny pogląd na mahometanizm, który ma być sektą skleconą z wyznania wiary Żydów i donatystów (!).

Wszystko jednak, razem wziąwszy, było niezmiernie ciekawe dla współczesnych i chciwie musiało być czytane.

---

Takiej wartości dla nas „Legacya" oczywiście mieć nie może. Zajmuje kolorytem, zajmuje nas pogląd ówczesnego szlachcica na stosunki, na ludzi, obyczaje i religię turecką, ma znaczenie w końcu jako historyczne źródło. Ale nie stanowi takiej atrakcyi, jak dla ludzi XVII. w. Podobnie z punktu widzenia artystycznego nie może zyskać aplauzu bodaj przez pół równego współczesnemu podziwowi.

Pisana wierszem trzynastozgłoskowym o rymach aa, bb, cc i t. d., jednostajna w rytmie, płynie równo i potoczyście, ale przez monotonność sprawia wrażenie bezustanku w równych odstępach czasu wolno spadających kropel deszczowych. Jest to poprawność, nie jest artyzm. Okrasa figur poetyckich i tropów godna jest dłuższej uwagi, bo we wszystkich historycznych poematach Twardowskiego ma jeden i ten sam charakter, choć nie zawsze równie jest dobra.

Wykształcony na klasycznych autorach ma już gotowe pojęcia dla ozdób poetyckich wyrobione. W Grecyi wymyślono w poezyi i prozie i utrwalono najprzeróżniejsze typy i wzory. Dziś można się już niecierpliwić, bo tej klasyczności jest może za wiele.

---

[1]) Leg. str. 68.

Pojono nas i poją ciągle bogami i boginkami greckimi. jakby to była nowość. Jakoż poczciwy i bogobojny p. Samuel idzie śladem poprzedników i współczesnych i z całą naiwną wiarą poety sypie i wysypuje z Olimpu. z Hadesu i z Elisium całemi tłumami starożytne postacie. Gdy od stołu, przy którym pisał, wstanie, opadną go zaraz wszelkie te myśli i może za godzin parę klęknie do pacierza i ani mu przez głowę nie przejdą boginki, ani w ich istnienie nie wierzy więcej. Ale gdy do pisania się zabierze. w tym samym momencie myśli już gotowemi formułkami poetyckiemi, gotowemi porównaniami, jak żywy zjawia się w jego wyobraźni świat mityczny grecki i do niego wszystko odnosi. do niego wszystko nagina. Twardowski nie tylko nie mógł zerwać z tą tradycyą, on nawet nie potrafiłby przypuścić, że to się da zrobić. Kanonem w sztuce była starożytność; żeby się z niej otrząsnąć. trzebaby mieć albo genialność stworzenia nowych zastosowań, albo odszukać świat, z któregoby te zastosowania dać się wzięły. trzebaby nowych typów, nowych wzorów, nowych pojęć. Można je było znaleść i znalazło się kiedyindziej w świecie średniowiecznym i chrześcijańskim, a z drugiej strony przez większy nacisk na głębie duszy ludzkiej w niej samej, bo bardziej w opisowej poezyi klasyczność szła w pomoc i narzucała się bezwzględniej, niż w lirycznej, czy dramatycznej. Epika wśród ludów klasycznych stanęła najwyżej. Do dziś dnia nie można prawie spotkać epicznego utworu bez różnych odniesień do klasycznego świata. Łatwiej i szybciej otrząsnęły się liryka i dramat. Wówczas jednak wogóle wyzwolenie było czystem niepodobieństwem.

Ztąd Twardowski często sięga do klasycznego worka. czerpie zeń suto i rozsiewa klasyczne wiadomości po wszystkich dziełach. Świat grecki i rzymski, aureolą przeszłości otoczony, uświęcony uznaniem przez znakomitości artystyczne. jest dla niego w sztuce wszystkiem. Obok istnieje świat drugi. rzeczywisty. Ten świat odnosi do pierwszego, szuka nici porównań, szuka gotowych wzorów, według których mógłby się w teraźniejszości. we współczesności oryentować i tę współczesność z artystycznego punktu widzenia ocenić, ztąd też dziwna. a u współczesnych pospolita mieszanina chrześcijaństwa moralnego z pogaństwem artystycznem. Kiedy ocenia zjawiska moralne, wychodzi z niego prosty wierzący szlachcic; kiedy znów jakieś zjawisko artystyczne. pracuje w nim pamięć i przywodzi na uwagę pogańskie formułki i wzorki. Nie znaczy to wcale, że jest człowiekiem, który po prostu nauczył się cenić sztukę i naturę, że nie odczuwa bezpo-

średnio, tylko pośrednio według tego, czy sobie przypomni, o ile coś kiedyś podobało się jakiemuś poecie. Ale w nim zlały się te pojęcia tak, że kiedy był np. pod wrażeniem natury, wnet poczynała pracować pamięć i dla oddania, dla uzewnętrznienia spostrzeżeń i przejawów duchowych brał gotowe formy ze świata klasycznego. Tak, kiedy chce opłakać śmierć Krzysztofa Zbarazkiego, w pomoc przyzywa Muz i Apollina z Helikonu, tak Gedyminowi „Augur“ tłumaczy sen, tak posłańcem stale bywa Merkury („lekka dera na nim, spięte póry ramiona“), bez którego list nigdy nie dojdzie przeznaczonych rąk, tak królewicz Władysław:

„...cnotą y sercem przeszedłby Achille
Y święte rzymskie one dobrocią Kamille.“ [1])

tak w każdem miejscu i o każdej dobie Olimp w sukurs przysyła mu swoich mieszkańców. Czasem, że to nie potrafi dostatecznie rozgraniczyć pojęć klasycznych od nowoczesnych, — jak zwłaszcza w wysokim stopniu razem z przytępieniem smaku nie umiano w trzech pierwszych ćwierciach XVIII. stulecia, — zabawne wypadają mieszaniny anachronistyczne. Oto np. Herkulesa uzbraja w kopię. Czasem znów, raczej często gniewa wprost, kiedy rzeczy, które wyobrazić sobie łatwo, porównuje z rzeczami, o których czytał w klasycznych autorach, ale których nie widział ani on sam, ani czytelnik. Janczarowie rzucili się na pokoje sułtańskie, ażeby zabić Osmana:

„Nieinaczey, gdy z Hemu y przykrey Rodopy
Lecą wód rozpuszczonych ogromne roztopy:
Groble tęgie ruinuiąc y warowne tamy,
Że się w łonie okryią Propontydy samy“,

albo też:

„...a iako pienisty srożeie
Niedźwiedź na Erymancie, gdy z tełu y w czoło
Zgraia go ossoczników obskoczy w około...“

Czemu na Erymancie, a nie w Koziej Wólce na przykład? Ach! to w złym byłoby tonie, ojciec Horacy przewróciłby się w grobie, współczesny Francuz skrzywiłby usta z niesmakiem,

---

[1]) Leg. str. 21.

a polski szlachcic w karabelęby uderzył i zakrzyknał: bój się Boga. panie bracie!

Oko Twardowskiego, suggestyonowane przez klasyczne myty, ożywiało naturę w kształty ludzkim podobne. Trytony wynurzają się z Dniestru i życzą poselstwu szczęśliwej drogi[1]) do Konstantynopola. potem te same Trytony wychylają się z morza. aby podziwiać wjazd książęcy. A tak miły mają uśmiech. choć niewidzialny, i taką minę przyjemną, choć tylko siłą wyobraźni dostrzegalną. że jak odmówić im prawa bytu i jak zerwać z tradycyą dryad, nimf. czy Trytonów?

Mnogość i dobór tropów i figur są miarą piękności poetycznego języka. Dla figur retorycznych, jak onomatopeja. gra wyrazów, antyteza, u Twardowskiego miejsca prawie nie masz. Gramatycznych używa dość często, zwłaszcza apostrofy[2]) i powtórzenia;[3]) lecz zapominać się nie godzi. że figury gramatyczne są zwłaszcza w poezyi rzeczą pospolitą i nieraz konieczną ze względu na ilość zgłosek i rytm. Z tropów na dobrą ironię zdobywa się rzadko, bo niema dość gibkiego umysłu. Spotkałem eufemizm tylko jeden: Sudermann opanowuje Rygę „ofiaruiąc podobne y Wilnie ruiny“.[4]) Synekdoche trafia się, lecz nie uderza oryginalnością. Metonymia i personifikacya ograniczają się głównie do tych, które w potocznej mowie obiegając gęsto wytarły się. jak pieniądz zdawna kursujący z rąk do rąk, i straciły urok, jak właśnie co dopiero przezemnie przytoczone porównanie. „Swawola bierze górę“,[5]) „nowiny przyidą“,[6]) „wieczórby mnie zaszedł“,[7]) „Ossman próżną dumą nadęty“,[8]) itd. itd. Ale są ładniejsze i mniej pospolite:

„Wieść iednak niecierpliwa...
. . . . . . . . między gminem sieie
Hołdu postąpionego łakome nadzieje.“[9])

---

[1]) Leg. str. 41.
[2]) Leg. 4, 19 i t. d.
[3]) Leg. 22 i t. d.
[4]) Leg. 27.
[5]) Tamże.
[6]) Leg. 29.
[7]) Leg 7.
[8]) Leg. 26.
[9]) Leg. 24.

lub:

„ . . . ruszenia się dały
Trąby znak y wesoły Pean zahuczały:
. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .
A Echo dźwięki zbiera y wiatr lekki goni.“ [1])

Najwięcej jest porównań, z których jedne krótsze, wcale nieźle odrazu do wyobraźni zwabiają plastyczny kształt, wrażenie barwy, czy dźwięku, albo złudzenie ruchu, drugie dłuższe, epickie, chybione po większej części, gdy ze świata klasycznego wzięte, trafne, kiedy autor nie wędrował daleko, ale czerpał je z otaczającej nas natury.

„A iako wilk srożeie, gdy w owczarniey czuie
Stado owiec zamknionych: iuż on przepatruie
Ze wszystkich stron przystępu, iuż dziury kryiomey,
Żeby obrok obmyślił paszczęce łakomej:
Niemniey w ten czas poganin żarzył się sam w sobie...“ [2])

Naturalnie wśród porównań tuła się wiele przerobionych, niejednokrotnie wprost tłumaczonych z poezyj łacińskich, bo wielkich ceremonii nie robiono wtedy z cudzym dorobkiem i wspomagano się sowicie z żelaznego kapitału dzieł klasycznych, który się nigdy nie wyczerpywał. Czy wyławiać podobne pożyczki? Czy oddać Horacemu, co jest Horacego, a Wergilemu, co Wergilego jest? Sądzę, że mrówcza praca, jakąbym tu podjąć musiał, nauce korzyści przysporzyłaby bardzo mało, a w rezultatach okazałaby się nieraz płonną.

Styl Twardowskiego sumarycznie biorąc, jest dość barwny, lecz nie zawsze jasny. Wpływ gramatyki łacińskiej odbił się ujemnie na architektonice polskich okresów, nawet szyk słów nieraz myśl plącze i zaćmiewa. Zwięzłością nie grzeszy p. Samuel także. Przemowy, jakiemi gęsto przetyka opis audyencyi, są rozwlekłe i przez rozwlekłość czasami nudnawe. Gdy nie ma tych wad, staje się styl jego wcale plastycznym. Trywialności, na której zyskuje dobitność, ale traci poezya, unika, rzadko tylko sobie na nią pozwalając. [3]) Język jego niestety nie jest czysty, a choć, jak wogóle poezya XVII. w. w przeciwstawieniu do prozy, wolny od słów

[1]) Leg. 70.
[2]) Leg. str. 17.
[3]) Leg. str. 45; rubaszność str. 163.

łacińskich, to jednak pełny ruskich i spolszczonych tureckich. Te ostatnie ciekawe były dla współczesnego czytelnika, który mógł się czegoś nauczyć tem bardziej, że Twardowski dawał objaśnienia na marginesie. Ale dzisiaj utrudniają one czytanie i mącą wrażenie ogromnie. Jest właśnie winą Twardowskiego wielką to wprowadzanie najrozmaitszych słów obcych, albowiem języka nie wzbogacał bardzo, a powagą swojego rozgłosu innych zachęcał do podobnego każenia ojczystej mowy.

Świadectwem talentu opisowego p. Samuela są charakterystyki ludzi. Nie wiele ich; mamy dokładniejsze sylwety jedynie księcia, Dżiurdżiego i sułtana. Jak zwykle sięga do klasycznego worka i ztamtąd do obrazu wybiera farby, lecz zdolności rysunkowych i malarskich nie można mu odmówić. Księcia Krzysztofa opisuje z zapałem tak, że rozumie się jego cześć dla tej wyrazistej postaci, bo ten dumny i możny pan jest odważny, śmiały, rozumny, w ruchach pełny godności, jest bardzo dobrym mówcą, zręcznym dyplomatą, który zimną krew zachowuje do czasu, a gdy potrzeba, umie wybuchnąć i z całą stanowczością bronić zagrożonego honoru. Jego przeciwieństwo stanowi Dżiurdżi: [1])

„W ogromnym tedy siedział niewdzięcznik on czubie,
W soboli, by Lucyfer odąwszy się szubie:
Oczy mu świdrem poszły, a twarz maglowana,
Jako w ogniu świeci się miedź polerowana.
Kto widział Radamanta, [2]) iako gdy przed piekłem
Dusze sądzi przeklęte, wzrokiem toczy wściekłem:
Gęba y nos klisterą iakoby rozdęty,
A u rydzey brody wąs miąższy y pomięty.
Czoło rugi zdżymaią y twarz starożytną,
A chropawe iagody piernikiem mu kwitną:
Na łonie trzyma brzydkim tablicę kamienną,
Wieczny wyrok niosącą y śmierć nieodmienną.
Nie inakszych Dżiurdżi był oczu y urody:
Oprócz, że ani wąsów, ani miał y brody:
Rzezany brzydki trzebień y długo wątpimy,
Onegoli, iakąli maszkarę widzimy.“

W opisie obrazów natury reminiscencye klasyczne znowu pewną sprowadzają nienaturalność i wymuszenie, chociaż rozumienie i odczucie natury jest. Lubuje się Twardowski w słone-

[1]) Leg. str. 82.
[2]) Oczywiście nikt.

cznych obrazkach, podczas kiedy burze nie budzą w nim estetycznych wrażeń. Przytaczam najlepszy opis Dunaju:[1])

„...w górę się podniosszy, obaczym w równinie
Dunay, iako y bystrze y szeroko płynie:
Rzekę przednią Europy. Która w horyzoncie
Począwszy się Helwetów, w czarnym znika Poncie.
Po niey żyzne ostrowy, gdzie po wdzięczney trawie
Gęsi y białopióre pasą się żórawie:
Krzyk y lament łabęci Echo w cieniu sporzy,
Z łożnice gdy różaney przyidzie wstawać Zorzy.
Po nurtach Nereidy z sobą harce zwodzą,
A w cieniu spracowane myrthami się chłodzą:
Brzegi bluszcz buyne snuie, z tey y owey strony
Smakiem nadoskonalsze żółcą się mellony.
Ciekawych pełno pływa rybołowów wszędy,
Ci po iazach jesiotry, ci na sielne wędy
Biorą wyzy ogromne: ci w lekkie sageny
Czeczugi y złocone imaią barweny.
Któraliż y uciechy y żyzność tey wody
Powie Muza?“

Wypadki, zdarzenia opisuje przeciętnie gorzej. Z powodu rozwlekłości obraz rozbija się i tam, gdzie najwyżej objawia się mistrzostwo poety, w żywym ruchu, tam właśnie Twardowskiego daremnie szukać. Akcya nie toczy się z zacięciem, osoby nie działają dość żywo, szczegóły nie rozmieszczone w odpowiedniej perspektywie mają się do całości czasem jak na średniowiecznych obrazach wielkie, drugoplanowe figury do malutkich na pierwszym planie. Lecz tak nie jest zawsze. Czasem Twardowski nie tylko dobrze opowiada, ale nawet umie wywołać nastrój, co najlepiej udało mu się w końcowej scenie czwartej pieśni.

Księciu grozi zamknięcie we wieży, poselstwu całemu napad niepłatnych janczarów, którzy wietrzą pieniądze w polskich wozach. Zapada noc. W niebezpieczeństwie poseł nie traci ducha i zagrzewa towarzyszy do mężnego wytrwania. Zatoczono armaty, zabarykadowano bramy, przysypano je ziemią, u okien stanęła czeladź i piechota gotowa do strzału. Niepokój przychodzi razem z mrokiem. Niepewność jutra mrozi wesołość, zamyka gadatliwe usta, budzi zadumanie. Książę dopiero dodaje otuchy, ożywia szlachecką fantazyę, która zaraz kipi, jak war, więc zaczyna się pijatyka, huczą śmiechy, padają żarty. Jakby na ironię Ibrahim-basza

[1]) Leg. str. 51.

przys    ie dziewki. Swatła płoną, gr       dziewki pląsają, pod  cenie ogarnia wszystkich. Jeden książę spokojnie gra w warcaby, jak gdyby nigdy nic, a tu lada chwila może się rozledz dziki wrzask, mogą świsnąć kule, rozbrzmieć jęki, może się polać krew. Lecz oto zamiast bitwy, przyszedł różany świt i wybawienie.

Chodynicki w swoim „Dykcyonarzu" słusznie sądzi, że „Legacya" byłaby świetnym tematem do historycznego romansu.

Dr. Stanisław Turowski.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# KLUB PATRYOTYCZNY WARSZAWSKI

## w czasach powstania listopadowego

## (1830 — 1831).

(Ciąg dalszy).

### XII.

Uroczystości 7. lutego na cześć Jana Kilińskiego. — Przygotowania klubu. — Pochód uliczny. — Municypalność. — Mowy przed kamienicą Kilińskiego na Szerokim Dunaju. — Rettel i Jan Kanty Wołowski. — Szewc Chodorowski. — W kościele OO. Augustyanów. — Pod kolumną Zygmunta. — Na Starem Mieście. — Przed pałacem Igelstroema. — Klubiści do szeregów. — Nowe wybory zarządu. — Rekryminacya przeciw członkom Komitetu śledczego i prof. Zinserlingowi. — Odezwa do Polek. — Pułk dzieci warszawskich. — Projekt uczczenia pamięci Bielińskiego. — Jawność posiedzeń klubu. — Podniesienie ducha Warszawian. — Ks. Gacki o potrzebie przedstawień opery „Niema z Portici.“ — Misya kapłanów.

Dzień 7. lutego 1831 r. wybrano na uroczystość oddania czci pamięci szewca Jana Kilińskiego. — Od chwili pogrzebu patryoty i walecznego pułkownika, święconego w roku 1816 na ulicach Warszawy, pamięć jego, jakkolwiek zawsze żywa w sercach ludu i domek historyczny na Szerokim Dunaju nie były i nie

mogły być przedmiotem publicznego kultu z obawy na następstwa. Klub patryotyczny postanowił tym razem dać głośny wyraz wdzięczności heroldowi ruchu ludowego z czasów Kościuszki.

O godzinie 10-tej rano, rada municypalna ze swym prezydentem Węgrzeckim, członkowie klubu, gwardye: narodowa i akademicka, obywatele rzemieślnicy, szczególnie z regimentu Kilińskiego, tudzież tłumy ludu, zebrały się na ulicy Dunaj przed kamienicą Kilińskiego. Dwaj oficerowie gwardyi narodowej wynieśli portret pułkownika. Obywatele Reffel i Jan Kanty Wołowski przemówili z zapałem. Orszak poprzedzony przez duchowieństwo kościoła Augustyanów i Metropolitalnego otwierał obywatel cechu szewckiego, niosący na wezgłowiu kokardę trójkolorową, wbrew uchwale sejmowej. Za nim dwaj oficerowie gwardyi narodowej nieśli portret Kilińskiego. Po obu stronach portretu obywatele: Wiśniewski i Chodorowski szli z chorągwiami powstania 1794 r., przechowywanemi w rodzinie pułkownika. W kościele księży Augustyanów, do którego wszedł orszak i gdzie śpiewano nabożeństwo żałobne, mieli mowy ksiądz Ludwik Tęsiorowski i Konstanty Danielewicz. Pierwszy przedstawił wiernym ucisk religii panującej za poprzednich panowań. Następnie orszak udał się przez plac Zamkowy do Fary. U kolumny Zygmunta Adam Gurowski w energicznej przemowie wykazał konieczność obrony stolicy, przytaczając pamiętne przykłady Kilińskiego, rzeźnika Sierakowskiego, księdza Mejera. W kościele zabrali głos ks. Pułaski i Józafat Ostrowski. Gdy orszak udał się na rynek Starego Miasta, przemówili tam: Żochowski i kapitan gwardyi narodowej wymowny improwizator, Józef Kozłowski, przypominając cierpienia patryotów. Lud głośnymi okrzykami wyraził oburzenie. Z rynku Starego Miasta w drodze do pałacu ongi Igelstroema, zatrzymał się orszak w kościele OO. Dominikanów, gdzie piękne mieli mowy: Gacki, Janowski i Grzymała. Po nich zabrał głos szewc Chodorowski, przypominając świetne czyny Kilińskiego i zachęcając lud do pójścia za jego przykładem. Przed pałacem Igelstroema, gdzie się obrzęd zakończył, miał mowę członek klubu Krępowiecki, poczem lud spokojnie rozszedł się do domów.

Tegoż dnia z powodu udania się na pole walki wiceprezesów klubu: Maurycego Mochnackiego, ks. Aleksandra Pułaskiego i Ksawerego Bronikowskiego, oraz sekretarzy: Tadeusza Krępowieckiego i Michała Dębińskiego, odbyły się nowe wybory członków zarządu. Prezesem pozostał Joachim Lelewel, pierwszym wiceprezesem — Roman Sołtyk. Ich towarzyszami zostali: Józafat Ostro-

wski, ksiądz Ludwik Tęsiorowski. ksiądz Józef Gacki. Józef Kozłowski. Sekretarzami: Nepomucen Janowski i Maciej Moszyński.

Pod prezydencyą Ostrowskiego odbyło się w d. 9. lutego posiedzenie klubu, na którem sekretarz Moszyński odczytał projekt podania do gubernatora stolicy, w sprawie potrzeby skruszenia lodów na Wiśle przynajmniej na dwie mile wokoło stolicy.

Ks. Tęsiorowski wystąpił z oskarżeniem przeciw profesorowi Zinserlingowi o tamowanie przezeń oświaty za zeszłego rządu.

Józafat Ostrowski żądał wniesienia petycyi do rządu w sprawie ukarania członków komitetu śledczego: Ordynata Stanisława hr. Zamoyskiego. Hankiewicza, Poklękowskiego, Supersona, Ilnickiego i innych, co przez aklamacyę przyjęto.

Ks. Pułaski wniósł, aby klub uchwalił odezwę do obywatelek stolicy w sprawie pomagania pannom miłosierdzia w zawiadywaniu szpitalami. Myśl tę podała mówcy panna Strzemeczna, co klub przyjął.

Ignacy Radkiewicz doniósł, iż przeor Dominikanów uwięził jednego z zakonników za to, iż tenże chciał udać się do wojska.

Sekretarz Janowski odczytał odezwę do Polek, by wyprawiały do wojska młodzież, wałęsającą się jeszcze po ulicach stolicy i zapowiedział jej ogłoszenie w pismach publicznych.

Nazajutrz d. 10. lutego, obyw. Miklaszewski odczytał projekt podania do rady municypalnej w sprawie potrzeby pośpiechu w umundurowaniu pułku dzieci warszawskich. Wezwał w końcu obecnych, by liczniej się gromadzili na posiedzeniach klubu. Przyczynę niewielkiej frekwencyi upatrywał ks. Tęsiorowski w braku dokładnej organizacyi i w rozpuszczanych pogłoskach, jakoby klub składał się z ludzi podejrzanych i ambitnych. — Z tego powodu zgromadzenie postanowiło przejrzeć i uzupełnić organizacyę klubu, poczem ją ogłosić publicznie.

Sekretarz Janowski odczytał wniosek Aleksandra Komarnickiego w sprawie uczczenia pamięci senatora wojewody Piotra Bielińskiego stosownym obrzędem, co w dniu 5. marca spełnić postanowiono.

Dnia 11. lutego obyw. Kozłowski dowodził potrzeby ogłaszania drukiem protokołów posiedzeń klubu i radził utworzyć w tym celu dziennik specyalny.

Dmochowski uważał takie wydawnictwo za zbyteczne i kosztowne w obecnych okolicznościach i radził poprzestać na wyborze pisma już istniejącego np. *Nowej Polski*.

Obyw. Chmielewski dowodził, iż na zmianę opinii o klubie wpłynęłaby lepsza redakcya głosów w nim wygłaszanych. „Dziennik *Nowa Polska* — mówił — wkłada w usta mowców zdania, których nie wypowiedzieli. Z całkowitych protokołów publiczność sądzić winna o naszych naradach, a wówczas nie będzie nas obwiniać o dążność do anarchii, o tworzenie stronnictw i zgubne dla ogółu zamachy".

Kr. Tesiorowski mniemał, że ogłaszanie całkowitych protokołów zbyt wiele miejsca zabrałoby w *Nowej Polsce,* co nie zgadzałoby się z życzeniem redaktora. Radził więc umieszczać jedynie ważniejsze wyjątki, a dopiero później możnaby oddzielną książkę protokołów ogłosić.

Sekretarz Janowski przedstawił niemożność podania petycyi do naczelnego wodza, w sprawie wyboru na gubernatora stolicy męża sprężystego, oraz zmiany nazwy jego urzędu na inną: np. starosta, marszałek.

Obyw. Kozłowski twierdził, że to sprawa obojętna, byleby rzecz sama nie była szkodliwą.

Na posiedzeniu 12. lutego obyw. ks. Gacki wskazywał potrzebę ożywienia ducha rewolucyjnego w ludzie warszawskim. — Dowodził, że zajęcie Warszawy przez nieprzyjaciela szkodliwie oddziałałoby na sprawę powstania, gdyż jak po 29. listopada za stolicą poszły wszystkie województwa, tak nawzajem, po poddaniu się stolicy i te ostatnie z łatwością ulegną, a tak wszystkie wysiłki narodu ku wyzwoleniu się byłyby odrazu stracone. Działanie zatem na polu bitwy należałoby pozostawić wojsku, a obronę stolicy powierzyć ludowi warszawskiemu, zwłaszcza tej klasie, która powstanie wywołała. „Nie wiele potrzeba, — głosił mówca — by zapalić serca do poświecenia się sprawie narodowej, dosyć, jeśli członkowie klubu będą objaśniać lud o potrzebie obrony i o straszliwych skutkach niewoli".

Obyw. Miklaszewski żądał, aby po rogach ulic przylepiać odezwy wzywające mieszkańców do obrony.

Ks. Gacki radził, by prosić dyrekcyę teatrów o bezpłatne przedstawienia opery „Niema z Portici" i sądził, że teatr wogóle, a przedstawienia owej sztuki w szczególności, są jednym z najskuteczniejszych środków działania na obudzenie zapału rewolucyjnego.

Obyw. Dorożko był za publicznemi mowami członków klubu po rynkach i ulicach, tudzież po kościołach.

Za zdaniem poprzednich mowców poszli: Piotrowski i Miklaszewski.

Prezes oświadczył, że duchowieństwo otrzymało już od swej władzy polecenie odprawiania stosownych modłów i kazań, członkowie klubu mogliby zatem obserwować po kościołach, czyli owo polecenie się spełnia; sam zaś przyrzekł ułatwiać mowcom świeckim możność występowania po kościołach.

## XIII.

Głosy z prowincyi przeciw klubom i klubistom. — Odezwa Rady obywatelskiej lubelskiej. — Ksiądz Gacki w obronie klubu. — Zasady *Nowej Polski* a klub. — Gacki za godłem: „być albo nie być". — Tugendhold i jego wystąpienie w klubie. — „Dumania Izraelity na warcie". — Ksiądz Tęsiorowski podaje rękę Tugendholdowi. — List Lelewela do Tugendholda. — W sprawie krzewienia patryotyzmu polskiego między Żydami. — Tugendhold zapowiada wydanie broszury w żargonie.

Widzieliśmy już, iż działalność klubu patryotycznego nie znalazła sympatycznego echa w niektórych miejscowościach kraju.

Rada obywatelska województwa lubelskiego nadesłała do Rady Najwyższej Narodowej adres z potępieniem jego działalności i krytyki uchwał sejmowych w Nr. 23 *Nowej Polski.*

„Rada obywatelska — brzmiała odezwa — przejęta bolesnem uczuciem przeciwko tak zwanemu Towarzystwu patryotycznemu za pomieszczony w Nr. 23. gazety *Nowa Polska* artykuł przeciw reprezentacyi narodowej, uważając zarazem artykuł ten za ubliżający Narodowi i ziarno zatrważającej burzliwości siejący, uchwaliła adres do Sejmu, oświadczając się przeciw klubom wszystkim i naprzeciwko swawoli nadużywającej wolności druku, który czyniąc razem i Rządowi zaręcza, że w czystej miłości Ojczyzny nie potrzebuje podnoszenia ducha i klubów żadnych nie zna i znać nie chce, że w reprezentacyi narodowej poważa Majestat Narodu, a przez tę reprezentacyę utrwalone prawa i ustanowiony Rząd Narodowy za prawy z należną uległością poczytuje; w dowód zaś, że w zamiłowaniu Ojczyzny i współubieganiu się do dobra kraju nie dała się przewyższyć, wylicza wszystkie ofiary, jakie dla wspólnej sprawy toż województwo poniosło etc."

Adres pomieniony, za pośrednictwem zast. ministra sprawiedliwości zakomunikował rząd klubowi, lecz minister Wiktor Rembieliński odmówił swego w tej sprawie pośrednictwa... W odezwie z dnia 19. lutego 1831 r. do Rządu Narodowego — kontrasygnowanej przez wiceprezesa klubu patryotycznego Józafata Bohdana Ostrowskiego — oświadczył minister, „iż gdy przedsięwzięcie środków ku utrzymaniu towarzyskiego porządku należy do władzy administracyjnej policyjnej, komisya sprawiedliwości przeto ma zaszczyt zwrócić Rządowi Narodowemu oświadczenia w mowie będące".

Na posiedzeniu klubu z dnia 13. lutego sprawa adresu Rady lubelskiej była przedmiotem dyskusyi.

Ksiądz Gacki oświadczył, iż nie wdając się w ocenę artykułu *Nowej Polski*, już przez władze sądowe ocenionego, należy do klubu upomnieć się o własną obrazę i sprostować błąd, który dotąd jeszcze wszystkich ogarnia, mianowicie utożsamianie klubu z dziennikiem *Nowa Polska*. Wprawdzie wielu członków klubu do redakcyi należy, jednak opinie ich osobiste nie wiążą klubu.

Obyw. Smolikowski, który był obecny na Sejmie podczas czytania adresu lubelskiego, oświadczył, że poseł Tymowski, jako członek klubu, stanął w jego obronie.

Ksiądz Tęsiorowski zamknął dyskusyę oświadczeniem, iż nie należy przywiązywać wagi do pokątnych o klubie pogłosek.

Ks. Gacki rzekł, iż godła *Nowej Polski* wzięte z Szekspira: „być, albo nie być", trafnie wyrażają i cele klubu. „Mają one stawiać nam w umyśle wielkie przeznaczenie, że albo Polska od Bałtyku do Euxynu zmartwychwstanie, albo niema Polski". „Godła te winny stać się hasłem wszystkich dzienników i każdego Polaka".

Obyw. Tugendhold, podziękowawszy za przyjęcie go do klubu, złożył w darze 20 egzemplarzy dziełka: „Dumania Izraelity na warcie", tudzież kilka egzemplarzy: „Rozpamiętywań i modłów Izraelity gwardzisty". Oświadczył, że religia mojżeszowa budzi miłość do kraju i wolności i podał środki do zapobieżenia szpiegowstwu między Izraelitami.

Klub z zadowoleniem wysłuchał głosu Tugendholda a ks. Tęsiorowski, podawszy mu rękę, rzekł: „Czas jest zapomnieć o rozdziale, do jakiego nas prowadzi różność stanów i wyznań. Niech jedna nas wiąże cnota i tej wszędzie szukajmy, a tą jest miłość do Ojczyzny i wolności!"

Odczytał w końcu list prezesa Lelewela jako członka rządu do Tugendholda z podziękowaniem za przedstawiony projekt krzewienia obywatelskości między Izraelitami, na co Tugendhold zapewnił, że w tym celu zajmie się wydaniem swej broszury w żargonie.

## XIV.

Pierwsze wieści o zwycięstwie Dwernickiego pod Stoczkiem. — Ks. Gacki nastaje na przyspieszenie przedstawienia opery „Niema z Portici“. — Dmuszewski o bezpieczeństwie teatru. — Publiczność z lulkami. — Dyskusya nad ustawą klubu. — Ważność klubowych zebrań. — Zabezpieczenie losu robotników. — Zapomoga z sum seminaryjnych. — Sprawa napisu na pieczęciach klubu. — „Być albo nie być“ Hamletowskie. — Projekt Tugendholda.

14 lutego 1831 r., dnia, w którym do Warszawy nadeszła pierwsza wiadomość o odniesionem przez generała Dwernickiego zwycięstwie pod Stoczkiem, uwieńczonem zdobyciem kilkunastu armat, odbyło się pod prezydencyą ks. Tesiorowskiego posiedzenie klubu, na którem ks. Gacki zdał sprawę z rokowań prowadzonych z dyrekcyą teatralną w sprawie bezpłatnego dla ludu przedstawienia opery: „Niema z Portici“.

Członek dyrekcyi Ludwik Dmuszewski okazał w tej mierze chętną gotowość, lecz wyraził obawę, iż wobec braku należytego nadzoru nad porządkiem w teatrze, „kiedy znajdują się osoby, przybywające tam z lulkami, wystawa bezpłatna kosztowałaby może niejednego życie i spalenie budowy teatralnej“.

Obyw. Miklaszewski wnosił, by z tego powodu zwrócić się do ministra spraw wewnętrznych i policyi i wyjednać od niego oddział gwardyi narodowej dla przestrzegania porządku.

Stankiewicz radził, by dla zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom, obrachować liczbę miejsc i wydać odpowiednią ilość biletów zgromadzeniom rzemieślniczym.

Prezydujący uważał, że tłumaczenie się Dmuszewskiego było pozorem jedynie dla wywinięcia się od natarczywości klubu. Ten jednak zgodził się na podanie adresu ministrowi.

Następnie przystąpiono do dyskusyi nad ustawą klubu. Prezes komitetu, Józef Miklaszewski wystawił ważność organizacyi. „W narodach wolnych — mówił — w narodach, które dokupiły

się swobód politycznych, życie obywatela winno być więcej publicznem, niż domowem. Zgromadzenie się dobrze myślących obywateli czyli kluby, są konieczną dla rządów wolnych potrzebą. Wytwarzająca się tam opinia jest wskazówką dla rządu, jak ma postępować, jeżeli chce być trwałym i niewzruszonym".

Odłożywszy na później dyskusyę w tej sprawie, prezydujący udzielił głosu obyw. Cyprysińskiemu, który odczytał adres podziękowania członkom klubu, za poświęcenie się wojnie partyzanckiej.

Nazajutrz nielicznie zebrali się członkowie i dlatego znowu odłożono dyskusyę nad organizacyą klubu.

Obyw. Tochman podał wniosek o zabezpieczenie losu rzemieślników, mających być użytymi do obrony stolicy.

Obyw. Gostyński uważał, że rada municypalna winna zniżyć taksę żywności, by uchronić klasę uboższą od nędzy.

Ks. Tęsiorowski był za użyciem na zapomogi dla ludu funduszu, przeznaczonego dla alumnów po seminaryach, którzy się do szeregów zaciągnęli.

Ułożono w tym celu stosowne przedstawienie do rady municypalnej.

Na posiedzeniu 17. lutego, obyw. ksiądz Korycki mówił o nieporządkach w szpitalach wojskowych. Ks. Gacki zawiadomił o utworzeniu się komitetu obywatelskiego dam, dla czuwania nad szpitalami.

Przy dyskusyi nad ustawami organicznemi klubu, zażądała większość wykreślenia z nich wyrazów: „rewolucyjnego powstania Polski".

W sprawie pieczęci klubu projektowano: orła, pogoń i napis z Szekspira: „być albo nie być". Miklaszewski wniósł, aby pod orłem i pogonią dać napis: „29. listopada 1830". Stankiewicz był za wyrazami: „wolność, równość i niepodległość".

Tugendhold wnosił, by opuszczono wyraz „nie być", gdyż to byłoby według pojęć dawnych Hebrajczyków złą wróżbą i proponował wyrazy: „dla takiego bytu".

Prezydujący ksiądz Ludwik Tęsiorowski uważał, że zdanie wyrwane z Szekspira nie tłumaczy myśli jasno i dlatego proponował, by to pozostawić decyzyi Lelewela, na co się klub zgodził.

## XV.

Po bitwie pod Grochowem. — Adresy klubu do Naczelnego Wodza Skrzyneckiego i do generała Dwernickiego. — Odpowiedź Skrzyneckiego i Dwernickiego.

Po krwawej bitwie pod Grochowem, w której wielu członków klubu udział czynny przyjęło, nastąpiła czasowa przerwa w rozprawazh klubowych, natomiast zaznaczono wdzięczność ogółu walecznym wodzom bohaterskiego wojska przesłaniem adresów dziękczynnych, w dniu 6. marca Janowi Skrzyneckiemu, który po księciu Michale Radziwille objął był naczelne dowództwo siły zbrojnej narodowej i w dniu 9. marca 1831 r. generałowi dywizyi Dwernickiemu.

Osnowa pierwszego adresu brzmiała: „Towarzystwo patryotyczne: bydź, albo nie bydź.

„Wybór, który Cię obywatelu powołał do piastowania władzy, mającej oswobodzić wolną niegdyś, a przez pół wieku przeszło nieszczęściami kołataną i gnębioną ziemię, pocieszył naród cały, pocieszył sprawę wolności. Towarzystwo patryotyczne, dzieląc to powszechne uczucie, rzetelną dla siebie znajduje chlubę, bydź jego przed Tobą tłumaczem. Osiwiali na usługach kraju mężowie, wsławieni w bojach wojownicy, którzy z zaszczytem przywodzić mogli walecznym, podziwiają sami w Tobie geniusz i męstwo, pierwsi przy wyborze za Tobą głosy podnieśli. W tem czystem poświęceniu się dla sprawy ojczyzny i Twój i ich tryumf upatrujemy. Historya czeka na piękne bohaterskie czyny Twoje, obywatelu Naczelny Wodzu, naród na nich opiera swoje oswobodzenie, a oświecona część świata pragnie oklaskami rozsławić Twe imię. Chwała Obrońcom i synom wolności! Śmierć służalcom despotyzmu!

„Warszawa 6. marca 1831. — Prezes: *Joachim Lelewel*. Sekr.: *J. Nep. Janowski*."

W odpowiedzi na adres powyższy wódz Skrzynecki przesłał na ręce prezesa następujące pismo:

„Do Towarzystwa patryotycznego.

„Z rezygnacyą przyjąłem władzę naczelnego wodza z rąk Izby poselskiej i Senatu i wojska polskiego. Przejęty wiarą

w sprawę wolności i religii, w sprawę wieku i cywilizacyi, nie wątpię, że równie mocna wiara w sercu każdego prawego Polaka znajdować się powinna. Chciałbym wskrzesić szczęście, cnoty i męstwo zacnych przodków naszych, aby jeszcze więcej obudzić cnoty i męstwo obecnego nam pokolenia. Chcę wszystkie siły moralne i fizyczne wywołać z łona Ojczyzny, z łona Polski, aby nad dumnym nieprzyjacielem mieć przewagę.

„Znam moje położenie i zasyłam do Boga westchnienie moje, aby nas obdarzył prawdziwie wielkimi mężami, którzyby Ojczyznę naszą na jej właściwych postawili fundamentach. Nie mam się za wielkiego, jestem dobrym Polakiem obywatelem, u którego honor rycerza i narodu jest rzeczą świętą. Ojczyznę nad wszystko przekładać i siebie dla niej poświęcić, uważam za najświętszy, za mój jedyny obowiązek.

„Takiemi powodowany uczuciami, miłem przyjmuję sercem wynurzenie obywatelskich uczuć i życzeń, jakich organem jest T o w a r z y s t w o p a t r y o t y c z n e. Życząc Towarzystwu patryotycznemu, aby Ojczyźnie zupełnie użytecznem być mogło i aby do swoich zasad policzyło tę prawdę: że porządek jest wolnością, a wolność porządkiem: radbym widzieć jego usiłowania prawdziwie czynnemi i kierowanemi duchem porządku w postępie do jego celu wszystkich prawych Polaków, do celu dźwignienia i powstania Polski. Niech zbawienne prawdy po całej Polskiej ziemi upowszechniają się, niech szlachetne uczucia rozszerzają się po całej masie ludu, a ztąd powstanie wielka siła, która wielkie czyny, bohaterskie dzieła stworzy. Historya uraduje się, gdy do jej księgi kilka pięknych kart przybędzie, na pociechę wolności i cnoty, na zawstydzenie despotyzmu i niewolniczego służalstwa“. — Naczelny Wódz *Skrzynecki*.

Generał Dwernicki odpowiedział na adres:

„Do Towarzystwa patryotycznego warszawskiego.

„Pismo Towarzystwa patryotycznego przyjąłem z wdzięcznością, będąc przekonany o jego czystym patryotyzmie, chwalebnych dla narodu chęciach.

„Pochwały Wasze mam za pochwałę Narodu i wszelkich dołożę starań, abym przez dopełnienie powinności i wykonanie najszczerszych moich chęci w przyłożeniu się do wywalczenia niepodległości Ojczyzny zyskał zupełne zadowolenie.“

Krasnystaw, d. 9. marca 1831 roku. — Gen. dyw. *Dwernicki*.

XVI.

Odezwa prezesa Lelewela do członków klubu z d. 27. marca 1831 r.

W połowie marca 1831 roku postanowił klub, dwa jedynie razy tygodniowo, w niedziele i czwartki odbywać o godzinie 6-ej wieczorem swoje posiedzenia. W wyjątkowych jedynie wypadkach zgodzono się odbywać posiedzenia nadzwyczajne.

W zamiarze podniesienia ducha członków klubu, wystosował prezes Lelewel w dniu 27. marca następującą do nich odezwę:

„Obywatele, bracia towarzystwa patryotycznego!

„Niedawno odbierałem od Was życzenia, za które Wam dzięki składam. Czterdziesty szósty rok życia mojego zaczynam. Przeżyłem tedy różne narodu naszego koleje i z młodych lat moich są mi żywo obecne zdarzenia upadającej Ojczyzny. Wzrastając z upływem czasu, szedłem drogą publicznej, naukowej lub obywatelsko-politycznej posługi, w której zaskoczył pamiętny dzień rewolucyi.

„Widzieliście, że z wami podzielałem powszechne uczucia narodu i podobało się Wam powołać mnie na prezesa otwartych obrad Waszych, otwartych wynurzeń myśli i uczuć. Tknęła niejednego Wasza żarliwość, z gorącej chęci, ognistego upragnienia, poparcia, utrzymania i rozwinięcia sprawy narodowej wynikająca. Czyste Wasze rewolucyi i powstaniu narodowemu wylanie się, źle wystawione, naraziły was na niezasłużone pociski. Wytrwałość wasza i licznych obywatelów braci waszych, po całym narodzie polskim rozproszonych, niestrudzona czynność i jedność niejednego z uprzedzonych zawstydziła, a nie przestała podzielać życia, którem naród oddycha.

„Już nie dopiero z obrad waszych liczni towarzysze spieszyli z bronią w ręku szukać braci swoich, w narodowych szeregach niecierpliwie nieprzyjaciela oczekujących, aby nas wyzwali do oswobodzenia dotąd ujarzmionych ziomków naszych. Odgłos najścia na wolną ziemię naszą stał się hasłem dla reszty i wypróżnił prawie salę obrad. Dziś, mała liczba nas pozostała, którzy wyobrażamy w sprawie Ojczyzny walczących braci naszych: oczekują oni po nas, abyśmy godnie w ich imieniu przemawiali i działali, abyśmy zachowali ten zawiązek, który się w każdym zakątku ziem polskich w swych synowskich obowiązkach Ojczyźnie wy-

wiązuje. W małej liczbie pozostali oddaliśmy niedawno hołd uczczenia naczelnemu wodzowi naszemu, od którego dziś wam obywatele bracia składam oświadczenia i życzenia. Są one dla nas tem droższym upominkiem, że podzielamy te uczucia, tak wzniosie i uroczyście przez naczelnego wodza naszego wyrażane, które kojarzą i krzepią dzielność powstającego narodu. Podajemy je wiadomości obywatelów braci naszych i całego narodu polskiego, aby przeświadczyć każdego, jak są rozlane najzacniejsze i najczystsze uczucia i pobudki w świętej sprawie naszej.

„Wrócą obywatele bracia nasi z pola zwycięstw i sławy, wrócą okryci bliznami, zaszczytnem kalectwem i chwałą poświęcenia się dla Ojczyzny: niosąc wdzięczność i błogosławieństwo narodu, że się do jego ocalenia i wyswobodzenia przyczynili. Uściśniemy z rozrzewnieniem i radością ich dłoń bratnią. Napełnią się wtedy sale nasze dobrem sercem i dobrą radą, obrady świetności nabędą. Oby zbieg pomyślny zdarzeń, wspierając dzielność poruszeń narodu, najpożądańszą tę chwilę przyspieszył.“

Warszawa, d. 27. marca, niedziela kwietna. — *Lelewel Joachim,* prezes.

## XVII.

Uroczystość 29. marca na pamiątkę nocy listopadowej. — W sali Uniwersytetu. — Kapelusze sejmowe dam. — Przemowy Lacha Szyrmy i mecenasa Kraińskiego i Kozłowskiego. — Hymn Czeczota: „Cześć polskiej ziemi!“ — Uroczystość pamiątkowa 3. Maja przy ruinach kościółka Opatrzności. — Mowa szewca Chodorowskiego w obronie ludu przeciw arystokratom.

29. marca 1831 r. święcił klub czwartą uroczystość na pamiątkę nocy listopadowej.

Już o siódmej wieczorem liczna zebrała się publiczność w sali Uniwersytetu. Damy przystroiły się w kapelusze tak zwane sejmowe, t. j. w kolorach białym i amarantowym i otoczyły wieńcem trybunę prezydyalną.

Przewodniczący, prof. Lach Szyrma zagaił posiedzenie długą przemową. Skreśliwszy krwawy przebieg walk lutowych, przeszedł

do polityki gabinetów europejskich, mówił o zasadzie nieinterwencyi, twierdził, iż metafizycy niemieccy zamienili się w pisarzy sprzedanych dworowi północnemu. Odmalował interes, jaki mają narody w pomaganiu Polsce, podał obraz spustoszenia Puław i zakończył przepowiednią klęsk na wypadek niepomyślnego rezultatu wojny.

Obyw. doktor Dorożko twierdził, iż losy narodów zależne są od Opatrzności i że rewolucya listopadowa była koniecznością. Wytrwałość narodu może jedynie kraj zbawić.

Oklaskiwano mówcę i jego następcę Fr. Grzymałę.

„Kiedyśmy obchodzili w styczniu pamiątkę listopadową — mówił Grzymała — mieliśmy tylko nadzieję powodzenia. Luty zamienił tę nadzieję w pewność. Wawrzyny zebrane na polach Dobrego, Grochowa, Białołęki, Stoczka, Nowej wsi, Puław, Kurowa i Uściługa, zapewniają i dalszą pomyślność orężowi polskiemu. Strzedz się jedynie należy polityki układów z przeciwnikiem!“

Po mowie Grzymały zaczęto czytać wiersze, ale tak cichym głosem, że zebrani zaczęli wołać: „dosyć!“

Mecenas Kraiński podniósł głos przeciw despotom i zyskał szumne oklaski.

Popularny mowca Józef Kozłowski tym razem mowę swoją odczytał. Zwrócił uwagę na obojętność Francyi dla Polski, na błąd Lafayetta, na nieszczerość Ludwika Filipa, lecz zdaniem prelegenta, przyspieszy to zaprowadzenie republiki we Francyi, gdyż wszystkie ludy do niej dążą.

Twierdził, że niepodległość Polski na zewnątrz, a wolność na wewnątrz winna być celem powstania.

„Konstytucya Aleksandra — mówił — była dobrą, lecz choćby była najlepszą w świecie, nigdy przy niej Polacy szczęśliwymi być nie mogli, gdyż niepodległości nie mieli!“

Czytano potem wiersze: „W o l n o ś ć P o l a k ó w“, a na zakończenie Antoni Cyprysiński mówił o obecnem powstaniu i odśpiewano hymn Czeczota: „C z e ś ć p o l s k i e j z i e m i!“

W kwietniu oprócz nabożeństwa w kościele Franciszkanów za poległych w boju rycerzy, nie było obchodów publicznych narodowych.

Dopiero na pamiątkę konstytucyi 3. Maja, klub patryotyczny urządził przy ruinie kościółka Opatrzności uroczystość, przypominającą chwilę odrodzenia narodu. Ubrano ołtarz w świeże kwiaty i zioła. Ksiądz Trepka, kapelan pułku 9. piechoty, odprawił Mszę czytaną i zakończył ją przemową do uroczystości zastosowaną. Po nim zabrał głos szewc Roch Chodorowski. Otoczyli mowcę: Marszałek Sejmu, generał-gubernator stolicy, generał dowódzca gwardyi narodowej i wielu posłów.

„Czterdzieści lat upływa — głosił mowca — jak na tem miejscu świętem płynęły nam łzy radości na widok szczęścia ojców naszych; dziś też same łzy wydobywają się z oczu moich, gdy widzę szczęście dzieci naszych. Jakże ten przeciąg czasu dotknął nas srodze obywatele! Sieroty opuszczone, bez ojczyzny, bez rządu własnego, poniewierani przez obcych, a nawet gnębieni przez swoich, nie żyjąc przeżyliśmy długie lata cierpienia, aż wreszcie rozpacz i Bóg jej potężny Opiekun, zbawił nas w tej pamiętnej nocy, którą dzieci nasze wnukom swoim rozpowiadać będą.

„My, obywatele miast, ciemiężeni długie lata przez głupstwa i pychę biczów bożych nieszczęśliwej ziemi, zyskaliśmy przecież opiekę i prawa od czcigodnych mężów, którzy pamiętny Sejm czteroletni składali. Konstytucya 3. Maja utwierdziła szczęście nasze, a my sercem i duszą do niej przywiązani, przy tych głazach, na których miał stanąć dom Boży, pamiątka odrodzenia Polski, gorące zanosiliśmy modły o ustalenie dobra Ojczyzny. Ale nie spała wówczas pycha, nienawidząca szczęścia ludu, karmiąca się dostatkiem publicznym, obaliła świętą ustawę, kraj na rozszarpanie wydała, aż musiał pochwycić za miecz rozpaczy — lud i Kościuszko. O Rodacy! Nikt nie czuł większych nieszczęść, jak lud polski, nikt go też w poświęceniu dla Ojczyzny nie przewyższył. Ojcowie nasi powstali w tutejszem sławnem mieście, zniszczyli wrogów, a my, dziatki wówczas niedołężne, już słabą ręką rzucaliśmy pocisk na ujarzmicieli naszych. Ozdoba tego miasta, Kiliński, podpora owego powstania, przekonał świat cały, że aby stać się wielkim, nie trzeba być koniecznie hrabią lub księciem, dosyć jest być poczciwym rzemieślnikiem, kochać swój kraj, swobody i dobro Ojczyzny nad własne przekładać. Kiedy lud krew przelewał, panowie, bogacze, ciemiężyciele nasi, używali dostatków, kiedyśmy łaknęli, oni zyskiwali opiekę tyranów naszych, kiedy my sieroty, dręczeni, pogardzani, potrącani, tylko długoletnią nędzę zyskali. Nie powrócą

już tak smutne czasy, umiemy znać, co się należy ludowi, umiemy cenić, cośmy pamiętnej nocy 29. listopada uczynili. Kiedy przy tych fundamentach kościoła Opatrzności, na pamiątkę odrodzenia założonych, zanosimy modły do Boga, o dobrotliwe łaski dla Ojczyzny, już ten wielki Bóg, Opiekun świętej sprawy, gotuje szczęśliwą przyszłość ludowi polskiemu!“

Alexander Kraushar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

# Z życia domowego szlachty sandeckiej w epoce Wazów.

(Ciąg dalszy).

Nie lepszym też płatnikiem był ów wymieniony Piotr Rdzawski. W r. 1609 ubierał się brunatno po $2^1/_2$ złp.; chodził też czerwono i zielono po 45 gr. Cukier brał funtami. szafran łutem. Następnego roku brał sukna tańsze po 23 gr.. a zwykle zielone, i 4 łokcie uterfinu zielonego po 48 gr.; sama pani synowi karazyi czerwonej 8 łokci po 22 gr. Na pogrzeb jakiś brali 2 funty oliwy po 12 gr.. małmazyi za 20 gr. Płacił potrosze złotem, lecz nigdy od razu.

W r. 1612 brał sukno droższe po 80 gr.. w długu dał wanienkę ryb w 17 złp., nie spieszył się jednak z oddaniem reszty. Dlatego też w r. 1617 za karazyę białą po 22 gr. zastawił pochwę szablaną o srebrnych brajcarach.[1]) Mimo to kupiec nie chciał jeszcze zaufać. aż uczciwy Piotr. stary sługa. musiał zaręczyć za pana swego.

12. Stanisław Wielogłowski w r. 1611 chodził w falendyszu granatowym i czerwonym po 2 talary łokieć, lecz nie wypłacał, dlatego Tymowski wynurza swe żale pod rokiem 1620: Summa

[1]) Brajcary — rodzaj szlufek (koluszek) metalowych, przymocowanych do pochwy, przez które przeciągano rzemienie.

długów 30 złp. 20 gr. Do tego przejąłem jego dług 24 złp. 12 gr. u pana Walentego Wolińskiego z Grybowa i wziąłem do siebie łańcuszek.[1]) w którym było czerwonych złotych 20½. W tym roku były czerwone złote po gr. 100. Na przewodnią niedzielę, na żądanie pańskie samego pana Stan. Wielogłowskiego, dopłaciłem mu tego łańcuszka i wydałem mu łyżkę srebrną, za którą mi był winien 3 złp. Do tego wszystkiego dodałem mu 10 złp. 10 gr. I kazał mi go (łańcuszek) przedać na swój lepszy pożytek. Pewnie, że nie inaczej, bom go prosił, żeby mnie kwitował. Powiedział tak przy jejmości pani Jędrzejowej Wielogłowskiej i przy pannie Biernackiej, że mi go wolno przedać, jako sam będę chciał, chociaż i z moją szkodą, bo złoto nie węgierskie było. Tak powiedział złotnik Stanisław, syn pana Krzysztofa Janosza, złotnika, i z swym towarzyszem nie kazał mi drożej brać od 3 złp. za czerwony złoty. Jam dla potrzeby swojej musiał przyjąć drożej, gdym po sukno miał jechać, i darmom mu czekał roków 9. Sprawiedliwiem to wszystko napisał.

13. Piotr z Zawady Zawadzki. W r. 1608 bierze karazyę lazurową po 24 gr. i postaw czerwonego kiru. W rok potem winien za czapkę dla żony 12 złp., a za Krzysztofa Jordana winien 46 złp. W r. 1610 kupuje pani po 1½ łokcia falendyszu czerwonego i brunatnego po 2½ złp., zielonego 6½ łokcia po 16 gr. i cukru 2 funty, zastawia pierścień. W r. 1634 za 1½ łokcia breklestu czerwonego po złotemu zastawiła łyżkę srebrną do tygodnia.

Jan Zawadzki. W r. 1617 panna jejmości w kopie i groszu (= 61 gr.) za kir czerwony zastawiła obrączkę srebrną o 26 ogniwkach. Dobrała jeszcze małmazyi półkwarty. Jegomość kupował sukna tanie i długo musiał się targować o półgrosza, bo wreszcie wytargował po 13½—14½ gr. W r. 1618 zborgował 11 łokci sukna czarnego po 28 gr., czerwonego 7 po 2½ złp. i kir żółty. Zastawił portugał i św. Jana głowę złotą, co ważyło wraz 9 czerwonych złotych. W r. 1630 brał karazyę i breklest po 59 gr., więc znowu grosz wytargował.

* * *

[1]) Ponieważ według zapisków kupca w r. 1620 jeden czerwony złoty = 100 groszom, czyli 3 złp. 10 gr., więc ów łańcuszek złoty przedstawiał wartość 68 złp. 10 gr.

Nie może być celem niniejszej pracy wypisywanie dalszych wszystkich i pojedynczych drobnych rachunków. Wspomnę więc tylko, że oprócz wymienionych, którzy u Jerzego Tymowskiego kupowali różne towary, a czasem brali na kredyt albo zastawiali kosztowności swoje, należało jeszcze kilkunastu panów z pomiędzy szlachty sandeckiej ziemi, jako to: Adam Błędowski z Kobyla — Adam z Potoka Potocki — Bartosz Siemichowski z Klimkówki — Jan Wojakowski alias Lisek z Wojakowej — Krzysztof Jordan z Mordarki — Krzysztof Stadnicki z Wiatrowic — Krzysztof Marek z Będzieszyny — Zygmunt Chronowski z Posadowej — Kasper Poniatowski z Poręby, rządca dóbr Klarysek w Starym Sączu — Mateusz Klonowski, podrzęczy [1]) klasztoru starosandeckiego — Przecław, Józef i Marcin Wierzbięta z Przyszowej — Stanisław Olszowski, urzędnik księdza opata sandeckiego w Dąbrówce, który w r. 1633 wziął rozmaitego sukna za 106 złp. 18 gr. dla opactwa Premonstratensów, czyli Norbertanów w Nowym Sączu.

Lecz nie tylko wobec szlachty, przy braku dostatecznego z jej strony kredytu, ubezpieczał się Tymowski żądaniem zastawu, ale robił to samo i wobec panów wojskowych. I tak, gdy w r. 1630 chorągiew husarska, pod wodzą porucznika Radzikowskiego, została w Nowym Sączu na leże zimowe, towarzysze tej chorągwi, kupując u Tymowskiego różne towary, a przedewszystkiem sukna, w braku gotówki brali na kredyt, lub musieli dać zastaw. Chociaż w husaryi służyła najbogatsza szlachta, to przecież pokazuje się, że środki jej pieniężne były tak szczupłe a kredyt tak mały, że Tymowski niektórym z wymienionych panów chorągwi husarskiej „exercitus gravis armaturae“ kredytował dopiero na słowo samego pana porucznika Radzikowskiego — „powierzyłem z rozkazania pana porucznika“, albo „pan porucznik kazał dać“ — a jeszcze bardziej charakterystycznem jest, że tenże wypłacał nawet sam za drugich kupcowi. Inni zaś wprost musieli dać zastaw. Tak n. p. Andrzej Kitecki, biorąc sukna za 70 złp. 18 gr., zastawił pałasz srebrem oprawny; podobnie Mikołaj Prusiński za 37 złp., należących się za sukno, dał w zastaw kozacką krzywą szablę z srebrem białem; tak samo Spytek Jordan za 20 łokci breklestu zielonego po 2 złp. i postaw kiru żółtego za 13 złp., zastawił szablę oprawną.

[1]) Podrządca, podstarości, niższy urzędnik w zastępstwie właściwego rządcy dóbr klasztornych.

Sam pan porucznik, kupując za większe kwoty sukna, konia, ołów, także nie od razu płacił wszystko gotówką, lecz spłacał częściowo. Przy ostatecznem zaś obrachowaniu się z kupcem w obecności swego sługi, uznawszy swe długi za słuszne, „na alkierzu sam je napisał“, a spłaciwszy później znaczną część długu, resztę obiecał dopiero z domu odesłać.

Z powyższych zapisków widzimy, że gatunki sukna, które wówczas kupowała szlachta sandecka na rozmaite ubiory, oraz ceny tychże, jakie wymieniają źródła nasze, były następujące:

Baja — czerwona łokieć po 24 gr. do 1 złp. 20 gr. — wrocławska po 1 złp. 12 gr. — angielska lazurowa po 2 złp. — czarna po 1 złp. 15 gr. — śląska po 24 gr.

Breklest — czarny łokieć po 2 złp. — czerwony po 1 złp. do 2 złp. 10 gr. — lazurowy po 2 złp. — obłoczysty po 2 złp. 3 gr. — zielony po 2 złp. 4 gr.

Falendysz (feinholländisch) — błękitny łokieć po 1 złp. 4 gr. do 6 złp. 10 gr. — brunatny po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 6 gr. — brunatny ciemny po 1 złp. 20 gr. — czarny po 26 gr. do 2 złp. 15 gr. i po 2 talary stare — czerwony po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. 12 gr. — jasno czerwony po 1 złp. 20 gr. — granatowy po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 10 gr. — karmazynowy po 2 złp. 20 gr. do 3 złp. 10 gr. — lazurowy po 2 złp. 15 gr. do 6 złp. 10 gr. — lazurowy w wełnie farbowany po 3 złp. 20 gr. — obłoczysty po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. 15 gr. — różnobarwny po 2 złp. 15 gr. — zielony po 2 złp. 15 gr. do 5 złp. — zielono papuży po 2 talary — turkusowy po 4 złp. 15 gr. do 5 złp. 10 gr. — wiśniowy po 2 złp. 15 gr.

Karazya — biała łokieć po 14—23 gr. — błękitna po 1 złp. 4 gr. — czerwona po 14—26 gr. i po 1 złp. 25 gr. — czeska po 1 złp. 14 gr. — lazurowa po 14—27 gr. i po 2 złp. 9 gr. — lazurowa angielska po 24—27 gr. — lazurowa śląska po 23 gr. do 1 złp. — niebieska po 1 złp. 12 gr. — zielona po 22—24 gr. i po 1 złp. 12 gr. — jasno zielona po 20 gr. do 1 złp. 12 gr. — zielona angielska po 22 gr. do 1 złp. 24 gr. — żółta po 20 gr. — morawska postaw po 14—16 złp. — żmigrodzka postaw po 14 złp.

Kir — biały łokieć po 8—15 gr. — błękitny postaw po 7 złp. — brzeski po 10 gr. — czarny po 6 gr., postaw po 6—18 złp. 15 gr. — czarny trzyzyglowy po 10 gr. — czarny żałobny, czerwony, lazurowy i żółty po 8—16 gr. — kłocki przedni postaw po 15 złp.

Paklak — błękitny łokieć po 2 złp. 15 gr. do 3 złp. 15 gr. — czarny po 2 złp. 18 gr. do 3 złp. 8 gr. — czerwony po 2 złp. 22 gr. — obłoczysty po 2 złp. 20 gr. — zielony po 2 złp. 25 gr. — kłocki po 12 gr.

Sukna morawskie — białe łokieć po 12—28 gr. i 1 złp. — bernadyńskie po 13 gr. — błękitne po 14—15 gr. i 1 złp. 20 gr. — czarne po 12 gr. — czarne przednie po 16—18 gr. — czerwone po 12 gr. do 1 złp. 5 gr. — lazurowe po 3 złp. — papuże po 22 gr. — szare po 12—13 gr. — zielone po 14 gr. — mnisze po 14 gr.

Sukna różne — icińskie czarne — meszyńskie po 1 złp. 5 gr. — meszyńskie nakrapiane po 2 złp. 3 gr. — kłockie czerwone po 12 gr. — wittemberskie czerwone po 40 gr. — czeskie zielone po 14 gr — bieckie białe po 15 gr. — ołomunieckie.

Uterfin — czarny łokieć po 1 złp. 18 gr. — zielony po 1 złp. 14 gr. do 1 złp. 22 gr. — ciemno zielony po 1 złp. 14 gr.

Z wymienionych gatunków najwięcej były poszukiwane sukna zagraniczne, falendysz, karazya i sukna morawskie; inne zaś już podrzędniejszą odgrywały rolę. Tak więc osią stałą, około której obracały się wszystkie borgowania i zastawy, były prawie zawsze i wyłącznie sukna. Jakie to zaś kosztowności zastawiano za nie, uwidoczni nam bliżej treściwy rejestr.

1. Z pomiędzy monet: rozmaite talary — czerwone złote,[1]) czyli zwykłe dukaty — portugały, czyli wielkie dukaty, ważące po 5, 10, a nawet 20 dukatów. Te ostatnie bywały rzadsze i dawano je nieraz w nagrodę za niepospolite zasługi.

2. Z pomiędzy zbroi: szable, pałasze w srebro oprawne, a nawet same pochwy szablane o srebrnych brajcarach — muszkiety, karabiny i czekany. Do tego rycerskiego rynsztunku możnaby dodać jeszcze jeden niezwykły okaz. Przecław z Marcinkowic Marcinkowski, zamawiając u Tymowskiego 10. marca 1611 r. sukna za 70 złp., dał w zastaw sztukę złota wagi 26 czerw. złotych. Po św. Janie Chrzcicielu tegoż roku przybiegł sługa pański

[1]) Tak n. p. Adam Wielogłowski w r. 1618 za sukna zastawił 15 czerw. złot. — Przecław Marcinkowski w r. 1625 za postaw sukna zastawił 15 czerw. złot. — W tymże roku Jan Wiernek, podstarości lubowelski, pożycza 60 złp., a daje w zastaw czerwone złote i talary.

do kupca, odebrał ową sztukę złota, a wzamian złożył „ogłowie[1]) końskie oprawne“, które przecie musiało mieć niemałą wartość, skoro kupiec zgodził się chętnie na tę zamianę.

3. Z pomiędzy naczyń stołowych: czarki srebrne, niekiedy z herbem — czarki dwoiste, z których jedna wchodziła w drugą — łyżki i widelce srebrne, łyżki kozackie, łyżki z herbem — konewczki srebrne pozłociste, z wieczkiem na łańcuszku — garnuszki srebrne, z pokryweczką wyzłacaną — kubki srebrne pozłociste, niekiedy także z wierzchem — miednice srebrne pozłacane — roztruchany, czyli kubki wielkie z wieczkiem złocistem — srebro łamane, czyli różne drobiazgi uszkodzone, a jednak wartościowe — wreszcie cynowe talerze, miski, połmiski i nalewki, czyli dzbanuszki.

4. Z pomiędzy ozdób służących do stroju: różne łańcuchy złote — manele, czyli bransolety złote — noszenie z dyamentami, czyli kosztowne naszyjniki — obręcze, obrączki srebrne, czyli pasy białogłowskie o różnych ogniwach i cetkach, złociste, pancerzowe i białe litwerkowe — paski srebrne męskie pozłociste, o różnych ogniwach i sztuczkach — pasy rzemienne z cętkami, czyli blaszkami wypukłemi, i zamklami srebrnymi — zwiłe, czyli wisiory — pierścienie złote, z dyamentem, rubinkiem, turkusem, szafirem i żabim kamieniem — sygnety złote, niekiedy z herbem — zamkle srebrne do pasa — złoto do noszenia piórek (przy kapeluszach pań). — Z pomiędzy dewocyonaliów figuruje raz jeden: „Św. Jana głowa złota, ważąca 9 czerwonych złotych“.

Niektóre z owych przedmiotów, srebrnych i złotych, sięgały niezawodnie czasów Zygmunta I. i Zygmunta Augusta, skoro już podówczas (1607—1630) nazywano je starymi lub staroświeckimi. Bądź co bądź, to ustawiczne borgowanie towarów i zastawianie za nie rozmaitych kosztowności, znamionuje wybornie wiek i ducha czasu. Z podobnymi zapiskami trudno się spotkać nawet w Pamiętnikach z XVII. wieku: Stanisława Oświecima, Jana Poczobuta, Mikołaja Jemiołowskiego i Jana Paska. Z tego powodu dyaryusz Jerzego Tymowskiego, typowego kupca polskiego, jest niezmiernie ciekawym i cennym dokumentem do poznania życia domowego szlachty sandeckiej, w epoce panowania Zygmunta III.

[1]) Ogłów, ogłowia, ogłówka — gatunek uzdy na całą głowę końską, kamieniami wysadzanej.

## ROZDZIAŁ IV.

### Stosunek szlachty do mieszczaństwa.

Szlachta niechętnem okiem spoglądała na wzrastające bogactwa miast, na ich przywileje i warowność, dlatego też na sejmach koronnych, zwłaszcza w latach 1538, 1543 i 1550, zniewoliła częstemi skargami Zygmunta I. i Zygmunta Augusta do zniesienia cechów rzemieślniczych po miastach, prócz rządów i obchodów kościelnych, ponieważ ubliżają i szkodzą wolności szlacheckiej i ziemskiej.[1]) Pomimo tych wszystkich zabiegów i uchwał sejmowych, istniały dalej bractwa rzemieślnicze, bo były na czasie, a królowie z dynastyi Wazów stawali w obronie instytucyi cechowej, której zakres działalności ścieśnić usiłowano. Jako warownie kraju, okazały się miasta koniecznemi, a za obronę i na utrzymanie ich trudno było mieszczanom odmówić nagrody. Zygmunt III. szczególnie, sprzyjając żywiołowi niemieckiemu, sprzyjał i cechom, jako instytucyi niemieckiej, która rzeczywiście zasługiwała na uwzględnienie: bo dopóki instytucye miejskie wzorowały się według modły zachodniej, z Niemiec pochodzącej, dopóty wzrastała ich siła, a z nią i rozwój cywilizacyjny miast. Za jego przykładem poszli synowie i następcy jego: Władysław IV. i Jan Kazimierz, i można rzec, iż za Wazów bractwa rzemieślnicze zakwitły w całym swym, może nieco dziwacznym, lecz ówczesnym ustroju.

Szlachta, nie uzyskawszy zgnębienia miast, a przedewszystkiem nie mogąc obejść się bez nich, zachowała sobie przecie choć pozór panowania nad niemi w ustanawianiu miary, wagi i ceny towarów. Podwojewodzy, lub w jego zastępstwie podstarości, ustanawiał corocznie ceny żywności i robót rzemieślniczych, wraz z innymi urzędnikami grodzkimi, którzy nie mieli o nich dokładnego wyobrażenia — sama zaś szlachta uchwalała na sejmach 1613, 1620 i 1629 r. prawa i kary na zbytek mieszczan „lex sumptuaria", używających szat i podszewek jedwabnych, kosztownych futer, oraz safianowych butów.[2])

---

[1]) Ks. Januszowski: Statuta, prawa i konstytucye koronne. Kraków 1600, druk gocki in fol. str. 278—280.

[2]) Volum. Leg. T. III. p. 89, 180, 297.

Podobne prawa nie przyczyniały się do utrzymania zgody pomiędzy szlachtą i mieszczaństwem. Miasta ze wstrętem patrzyły na szlachtę, zazdroszczącą im owocu pracy i przemysłu, a dążącą do podbicia miast wolnych w poddaństwo swoje. Szlachta zaś za obronę kraju i dzielność, jaką okazywała w bezustannych prawie wojnach, żądając nagród i uznania od całego narodu, wymagała wyłącznej wolności i wyłącznych swobód dla siebie, i nie mogła się oswoić z widokiem zamożnych i strojnych, a nie rycerskich miast. Zazdrość ta szlachty wobec miast była powszechną podówczas w Europie, bo wszędzie oparta na zobopólnych, wyłącznych interesach. Mieszczanie, ponosząc coraz większe ciężary, opłacając wzmagające się pobory i stacye żołnierskie, gdzie tylko mogli, odbijali na szlachcie, czy to w sklepie, rzemiośle, czy w gospodzie. Szlachta zaś nie miała ochoty płacić więcej i zniżała ceny, więc kupcy i rzemieślnicy dostarczali podlejszych towarów i wyrobów; stąd hałasy i skargi! I w tem właśnie upatrujemy pierwszy, charakterystyczny rys, ujemnego stosunku szlachty do mieszczaństwa.

Ujemnie również wpływali starostowie grodowi na utrzymanie bratniej zgody pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem. Samowolnem postępowaniem uchwycili w swe ręce kontrolę nad całym zarządem wewnętrznym miast, a przedewszystkiem nad radą miejską, przez co poddali ją w bezpośrednią od siebie zależność i zniszczyli dawną jej samodzielność. Na to ścieśnienie przywilejów swoich, nie mogli mieszczanie obojętnem spoglądać okiem. Wskutek skarg pospólstwa Nowego Sącza, orzekli zesłani komisarze królewscy w r. 1543, ażeby starosta grodowy nie mieszał się do jurysdykcyi i sądownictwa miejskiego, ale pilnował swych sądów grodzkich starościńskich. Mimo to jednak podobne skargi powtórzyły się jeszcze niejednokrotnie w XVI. i XVII. wieku.

Ale pomijając te ujemne rysy obyczajowe, znajdujemy przecie wiele innych dodatnich stron, które znamionują przyjazny stosunek pomiędzy szlachtą a mieszczaństwem.

Szlachta grodzka i okoliczna bynajmniej nie usuwała się od mieszczaństwa Nowego Sącza, lecz owszem utrzymywała z niem stosunki towarzyskie, nawet niekiedy przyjazne. Stąd to nierzadkie zdarzały się wypadki, że mieszczanie sandeccy żenili się z szlachciankami, jak n. p. kupiec Walenty Wałowicz z Katarzyną, córką szlachetnego Jana Olszowskiego; albo inny mieszczanin, Stanisław Zawistowski, z Konstancyą Wielogłowską, której zapisał na kamienicy Smoczowskiej oprawy, czyli wiana 1.000 złp. Od-

wrotnie znowu córki majętnych mieszczan wchodziły nieraz w związki małżeńskie ze szlachtą, jużto okoliczną, jużto w mieście osiadłą. I tak Anna, córka kupca Mikołaja Pełki, poślubiła szlachetnego Jana Gębczyńskiego, a przy podziale majątku rodzicielskiego (1614 r.) otrzymała wieś Klimkówkę niedaleko Sącza, oszacowaną na 3.000 złp. Szlachetny Juliusz Delpacy „Del Pace", syn Juliusza rajcy krakowskiego († 1608), ożeniony był 1613 r. z Magdaleną, córką Stanisława i Jadwigi Fratrowiczów, właścicieli trzech przedmiejskich folwarków [1]) Podobnie także Wojciech Bogdałowicz, którego ojciec Stanisław, podupadły szlachcic, przyjął niedawno prawo miejskie i był poważanym ławnikiem „nobilis civis et scabinus sandecensis": a on sam urzędował w kancelaryi grodzkiej „vicenotarius castri sandecensis", pojął za żonę bogatą mieszczankę Felicyę, wdowę po kupcu, Sebastyanie Piotrkowiczu († 1631). Nowy Sącz łączyły z Krakowem od dawien dawna ścisłe stosunki handlowe, to też i mieszczanki sandeckie wychodziły za mąż do Krakowa za obywateli tamtejszych. Tak n. p. Urszula, córka zamożnego kupca, Baptysty Gandolfiego, była żoną Reneslego, mieszczanina krakowskiego w XVI. wieku. A wiadomo skądinąd, że mieszczanie krakowscy, zrównani byli pod pewnymi względami ze szlachtą i w niczem jej nie ustępowali.[2]) Stąd to urosło owo znane adagium: „Civis cracoviensis, est par nobili".

Na weselach panów rajców i ich córek bywała nieraz szlachta i duchowieństwo, dla których imieniem miasta stawiano po 6—12 garncy doborowego wina; przy wychylaniu tak zwanych „pełnych", t. j. dzisiejszych toastów, wygłaszano mowy na cześć państwa młodych oraz czcigodnych gości. Tak na weselu córki burmistrza, Jędrzeja Adamowicza (1607), było bardzo dużo szlachty, jak ks. Jan Jordan, opat Norbertanów sandeckich: Sebastyan Gładysz z Szymbarku: Jan Krynicki, dzierżawca dóbr miejskich w Paszynie, i wielu innych, a panowie rajcy wystawili przy tej sposobności 12 garncy wina. — Podobnie przy powtórnych zaślubinach Jerzego Tymowskiego (1610) z Krystyną, drugą córką wymienionego Jędrzeja Adamowicza, pan Jakób Chwalibóg z Ropy, dotrzymując słowa Tymowskiemu, kiedy go pocieszał po zgonie jego pierwszej żony, zaszczycił gody swą obecnością i nawet ka-

[1]) Act. Consul Sandec. T. 35, p. 349, 351, 507.

[2]) Zob. Rocznik Krakowski T. VII. 199. Kraków 1904. — Por. także Oswald Balzer: Państwo pol. w XIV. i XVI. w. Kwartal. Hist. z r. 1907, str. 268—269.

zał dać 2 achtele piwa. — Również, kiedy rajca, Matyasz Pleszykowicz, wydawał swą córkę Magdalenę za Jerzego Frączkowicza (1632), na weselu tem był obecnym powszechnie lubiany i poważany pan starosta grodowy, Jerzy Stano, przyczem ze strony miasta dano 10 garncy starego wina.

Podobnie postępowali starostowie grodowi. Na wesela swych córek zapraszali rajców, ci zaś, odwzajemniając się za to, częstowali hojnie w imieniu miasta weselnych gości. I tak w r. 1626 „przy rękowinach jejmości panny Zofii Lubomirskiej, starościanki sandeckiej, która szła w stan święty małżeński za jegomościa pana Krzysztofa Rarowskiego, gratyfikując jegomości panu staroście, Sebastyanowi Lubomirskiemu, daliśmy beczkę wina za 60 złp., ryb i wyziny za 5 złp.“ — Później znów 1628 r. „gratyfikując jegomości panu Jerzemu Stano, staroście sandeckiemu, gdy wydawał córkę swoją w stan św. małżeński za jegomościa pana Zygmunta Palczowskiego, daliśmy beczkę wina za 80 złp.“ — Tak samo w r. 1634 „za beczkę wina 80 złp., gratyfikując jegomości panu staroście, Jerzemu Stano, gdy wydawał wychowanicę swoją w stan św. małżeński, do którego aktu jegomość nas zaprosić raczył“.

Każde odniesienie zwycięstwa nad wrogami ojczyzny, witano w Nowym Sączu z niesłychaną radością, wśród wystrzałów armatnich, przy odgłosie trąb i kotłów, przyczem nie obeszło się bez wydatków na koszt miasta. Tak n. p. w r. 1629, po najświetniejszem zwycięstwie Stanisława Koniecpolskiego, hetmana polnego koronnego, nad Gustawem Adolfem pod Trzcianną 27. czerwca, zanotował burmistrz, Tomasz Pytlikowicz: „Puszkarzom za odprawienie tryumfu po zwycięstwa otrzymaniu nad Gustawem, dało się 14 gr.; panu Walentemu Korzeniowskiemu, który przy tymże tryumfie moustrował i regimentował pospólstwo, także i bębeniście kontentacyi 9 gr.“

Każdy wreszcie szczęśliwy wjazd nowego grodowego starosty, lub jego powrót z obozu, obchodzono wśród wesołych biesiad. I tak w r. 1611, kiedy Stanisław Lubomirski, starosta grodowy, powrócił do domu z wojny moskiewskiej, gdzie pod Smoleńskiem i Moskwą potykał się z wrogami na czele własnej chorągwi husarskiej ze 200 koni złożonej, [1]) darowano mu na przywitanie be-

[1]) Naruszewicz: Żywot Karola Chodkiewicza. T. I. 247. T. II. 3.

czkę wina za 80 złp. — Z powodu przybycia nowego starosty grodowego w r. 1627 zanotowano w księdze wydatków: „Na przywitanie jegomości pana Jerzego Stano, daliśmy pro honorario 2 beczki wina za 112 złp.“ A kiedy tenże starosta w r. 1634, wskutek poddania się Moskali i układów z nimi pokojowych zawartych w Polanowie, powrócił z obozu, ofiarowało mu miasto beczkę wina za 70 złp.

Po ustąpieniu Jerzego Stany w r. 1637, objął starostwo grodowe Jerzy Lubomirski.[1]) Z wielką okazałością witało go miasto, kiedy wjeżdżał do Sącza wraz z ojcem swym Stanisławem, wojewodą ruskim. U krakowskiej bramy na rozkaz rajców, wystawiono ogromny kolos, czyli słup, przyozdobiony odpowiednio do uroczystości, za co cieśle dostali 26 gr. Szychtarz[2]) miejski regimentował cechami i dostał wina garniec za 2 złp., pomocnicy zaś jego gorzałki za 1 złp. 6 gr. Pisarz miejski za przemowę do Imci pana starosty wziął też garniec doskonałego wina za 2 złp. 18 gr. Za starostą zjechało wiele szlachty i chorągiew dragonii wojewody ruskiego, ojca starosty. Nie mogąc się zmieścić jedną bramą, chcieli wjeżdżać drugiemi, że zaś były zamknięte, nie myśląc wiele, poodbijali kłódki i wjechali sobie wśród huku doboszów, wrzasku trębaczów i szyposzów miejskich, dmących w długie trąby na wjazd pana starosty.

Charakterystycznym zwłaszcza był wjazd starosty 6. października 1646 r. Burmistrz, Jakób Poławiński, i rajcy sandeccy, naradziwszy się pospołu, czynili przygotowania do należytego przyjęcia nowego pana starosty, Konstantego Lubomirskiego, syna Stanisława, wojewody krakowskiego. Lunarowie[3]) odebrali rozkaz wystawienia tryumfalnego łuku przed krakowską bramą, a sławetny Floryan Benedyktowicz, wielce zasłużony i słynny malarz, odebrał polecenie odmalowania tablicy tryumfalnej i 6 herbów, za co wypłacił mu burmistrz 20 złp. Bramę zaś tryumfalną stawiano pod okiem pana lunara, Wawrzyńca Sławińskiego, który

[1]) Było to niezawodnie w maju, gdyż 10. kwietnia 1637 figuruje jeszcze starostą Jerzy z Nowotańca Stano; 22 maja już Jerzy z Wiśnicza Lubomirski.

[2]) Od niem. Schaft, wyrabiał łoża, czyli osady do broni palnej, tak ręcznej jak i wałowej, i wszelką przynależność do niej.

[3]) Od niem. Lohnherr, gospodarze miejscy, doglądali wszelkich robót publicznych, mianowicie naprawy murów warownych, bram i baszt miejskich, wodociągów, mostów, bruków itp.

podał rejestr wydatków 17 złp. 26 gr. Składką dobrowolną zebrano po mieście 10 złp., resztę dodał burmistrz ex aerario.

Służba miejska, tak radziecka jako i wójtowska, już znacznie przechodziła mundury swoje, trudno ją więc było przedstawić pańskiemu oku w takiem zaniedbaniu. A zatem nabrano na świeżą barwę sukna morawskiego i kiru, i razem z robotą krawiecką zapłacono 20 złp. 24 gr. Była więc brama tryumfalna i czeladź przystrojona; był i pan pisarz miejski przygotowany z uroczystą mową powitalną; duchowieństwo zaś świeckie i zakonne ze święconą wodą i błogosławieństwem było w pogotowiu.

Ks. Jan Sygański T. J.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# MATERYAŁY
## do historyi polskiej XIX. wieku.

### Działalność emigracyi z roku 1831 na terenie Turcyi do pokoju Paryskiego.

(Ciąg dalszy).

*16. czerwca 1844.*

Odebrałem raport od p. Puławskiego z 8. czerwca z Tulczy, który tu załączam. Mam nadzieję, że ten agent się uda i dobrze go można będzie pokierować — co też czynię. P. Radyszewicz odjechał 10. b. m. wprost do Tulczy na mieszkanie, — z nim umówiłem się tak: P. Radyszewicz będzie prowadził handel zbożem, woskiem i innemi osobnemi rzeczami, mogącemi się zbywać na Niżu, jako to: żelastwa, broń, perkale i t. d. Przyjmuje za imiennego wspólnika Ahmet-beja i obiecuje przyjąć za imiennych komisantów dwóch ludzi przezemnie wysłanych — swoją firmą będzie ich zasłaniał przed władzami miejscowemi, a nawet będzie nam pomagał w rzeczach, które będziemy żądali od niego, to jest w naszych robotach. P. Tomasz Radyszewicz jest człowiek pewny, czynny i obrotny, jednak o istocie naszej roboty nie wie i wiedzieć nie będzie, wie tylko, że jesteśmy wrogami Moskwy, której

i on nie lubi, z całem zaufaniem nam się powierza, a w rzeczy politycznej żadnego powierzenia się od nas nie żąda. Ja z mojej strony obowiązałem się, że Achmed-bej równie jak i dwaj inni agenci będą czynnie pomagali p. Radyszewiczowi w jego handlu, co bynajmniej służbie nie przeszkadza, owszem pomaga, gdyż daje zręczność przebiegania kraju i prowadzenia roboty bez obudzenia podejrzenia. Tu w Carogrodzie obowiązałem się spełniać komisa p. Radyszewicza i ile będę mógł i umiał; kondycyonalnie także bez żadnego koniecznego zobowiązania się przyrzekłem, iż będę pisał do Francyi i Anglii, żeby go z czasem przedstawić na komisyonera domów potrzebujących towarów z Niżu i Dobrudży, jako to: zboża, wosku, skór, kości i t. d. Zgoła być mu pośrednikiem w jego handlu mojemi posługami, do żadnych datków pieniężnych ani udziału w handlu nie zobowiązałem się. Agenci będą mieli mieszkanie i żywność w domu p. Radyszewicza, będą mu za one bonifikowali żołd albo mogą dostać od p. Rad. za dobre usługi, co będzie ich korzyścią. P. Rad. za przyjazdem swoim objedzie z Achmet-bejem, czy nie można usadowić się w Kossowie, Matczynie lub Kustendży, a wolałby jak w Tulczy: jednak jeśli inaczej nie można, to muszę przystać i na Tulczę. Za moim przyjazdem na Niż ureguluję tę rzecz, zrobię może umowę między Achmet-bejem a p. Radysz., zawiązującą dom komisyonerski, to dla Francyi a szczególniej i tu dla oka. Tym sposobem będziemy mieli nasz dom, nasze przytulisko na Niżu, to, co od dawna życzyłem, — usadowimy się dobrze na Niżu. Korespondencyę pewną mamy zapewnioną — póki statki chodzą — a zimową porą wynajdziemy inną.

Ja odbieram listy pod adresem p. Glavary, przez kapitanów statków, Słowian nam chętnych, choć o niczem nie wiedzących. Na Niż pisuję albo przez konsula francuskiego w Warszawie, p. d'Olive, za pośrednictwem p. Aleon, albo pod adresem p. Marvopolo, agenta statków w Tulczy — nawet w czasie zimy zostaje nam droga Warny, dokąd żaglowe statki ciągle chodzą. Prosiłbym władzy jak najusilniej, by zajęła się jak najprędzej zawiązaniem stosunków tego domu komisyonerskiego z Anglią, to jest, żeby przygotować dla tego stosunku, aby go przyjęto, jak przyjdzie umowa zawiązująca dom. P. Rad. wielkich pieniędzy niema, sądzę, że więcej nad sto tys. p. t. nie może włożyć w handel — ale jest to człowiek uczciwy, któremu można zawierzyć — z towarami w konie i z pieniędzmi na konie. Gdyby ten dom wzrósł, byłaby to nasza własność polityczna — przez niego moglibyśmy

usypiać władze miejscowe i do niego sprowadzać broń i inne potrzebne nam rzeczy — do niego z czasem i więcej agentów także koniecznych do rozpoczęcia przybrać można — ten dom byłby także pozorem dla emisaryuszów jadących do Besarabii i Mołdawy za skupnem produktów. Proszę także władzy o wypatrzenie ze dwóch agentów na Niż — i trzymanie onych w pogotowiu do wysłania, szczególniej jednego, który mi się zdaje, nieodbicie i wkrótce będzie potrzebny do wysłania tam. Oprócz tego w Monasterze Czerńców usadowimy się tak, jakiem to pisał już dawniej. Zdaje się, że usadowienie się na Nizie mamy już w ręce. Tylko błagam władzy o wspieranie tej rzeczy — kozacy z Tatarami według mego mniemania są dostateczną siłą do sprowokowania powstania w Polsce i do wsparcia go silnie i skutecznie — gdyby nawet emisaryuszostwa ztamtąd nie udały się. Warta tedy ta rzecz, żeby ją popierać. Opatrzność nam dozwoliła, że mimo tylu przeszkód, tylu trudności utrzymaliśmy się na tym ważnym punkcie dla polityki X-cia Pana — i mamy więcej jak dawniej nadziei i możności działania z niego właściwie i skutecznie. P. Puławskiemu dałem jak najszczególniejszy przepis co do jego postępowania za połączeniem się z p. Rad. Według tego przepisu mają się prezentować Hassan-bejowi obydwa razem, jako zawiązujący dom, nie mówiąc nic o mnie. Jak tylko odbiorę pieniądze, myślę zaraz wyjechać na Niż, jeśli p. Żukowski przyjedzie przed moim wyjazdem, to zabawiłbym tam z parę miesięcy, jeśli nie, będę musiał powrócić prędzej, zaraz po uregulowaniu rzeczy. Jeśli nic nie będzie ważnego przed zimą, co jeśli X-cia Pana wola będzie taka, abym tu pozostawał, chciałbym przepędzić zimę na Niżu i posunąć rzecz tak, jak potrzeba — w takim razie należy, żeby tu w Carogrodzie był kto tak n. p. jak doktor Drozdowski, już jeśli nie dla czego innego, to dlatego, aby mu można powierzyć korespondencye. Teraz za moim odjazdem spełni to mój dragman, który jest i wierny i roztropny i rozumiejący rzecz.

*26. czerwca 1844, Carogród.*

Od Puławskiego odebrałem dwa listy, które tu załączam. Dwie rzeczy powinny zadawalniać władzę w jego postępowaniu, że się sadowi na Niżu i dobre stosunki z miejscowemi władzami zawiązuje, że rzuca się do drogi emisaryuszostwa jedynej broni.

jaką ztamtąd dziś wojować powinniśmy — ostrożnie zapewnie i bardzo. ale zawsze nią namagać potrzeba. Puławski daje się kierować i mam nadzieję. tak jak zawsze miałem, że z jego tam posłania będzie korzyść, sama pozycya Muzułmanina i tureckiego beja jest już ważnym względem. a przytem narodowość Tatara... Dla tego jedynie nie chciałem mu wyrabiać paszportu francuskiego. chociaż on namówiony przez Rawskiego. koniecznie tego żądał. nie chciałem. żeby mu nie popsuć osobistej pozycyi. chwyciłem się innej drogi, by mu ustalić turecką. — skutek pokazał, że mam racyę. O paszport angielski albo nowy, albo o zwrot tego, który posłałem. bardzo proszę: w tem chcę jego żądaniu zadość uczynić. dla jego spokojności, ale nie pozwolę mu go użyć. by się nie zbałamuciła ta dobra pozycya osobista. jaką ma. Ja spodziewam się wyjechać na Niż 2-go. a najdalej 9-go tego miesiąca. to ostatnie zrobiłbym jedynie dla oczekiwania przyjazdu Drozdowskiego, żeby mieć kogo zostawić przy papierach i przy osadzie. czuję ja potrzebe choć chwilowego pobytu na Nizie. żeby rzeczy nadac tok właściwy. żeby emisaryuszostwo zorganizować, ale czuję i to. że każde moje oddalenie się z Carogrodu jest szkodą dla sprawy — przerwanie biegu rzeczy — zatrwożenie naszych przyjaciół — obudzenie czujności nieprzyjaciół — ale jest potrzeba pojechania na Niż i władza tak każe — więc pojadę. będę starał się jak najkróciej bawić się tam.

*5. lipca. Carogród.*

Z Niżu odebrałem list od p. Puławskiego, który tu załączam. Nie zawiera on w sobie nic ważnego. tylko wskazuje według mego mniemania bardzo praktyczne postępowanie tego agenta. chcącego gruntownie się usadowić. mającego na celu ostrożność. Już miałem wszystkie papiery ważne w porządku i miałem wyjeżdżać 2. lipca, ale na żądanie p. de Boucquenoy musiałem odłożyć ten wyjazd. Przyjazd W. i P. tego samego dnia wypadłby. kiedy czas mojego wyjazdu nastąpi — jednak jak tylko będę mógł. to zaraz to uczynię; tymczasem przedsięwziąłem środki. by to odroczenie mego wyjazdu nie dało się uczuć rzeczy. Powtórzyłem moje polecenie p. Puławskiemu, by wynalazł i miał gotowych emisaryuszów, co mu łatwiej zrobić w Tulczy. jak w każdym in-

nym miejscu. By przysposabiał materyały do raportu dokładnego o brzegach dunajowych, tak z tureckiej jak i moskiewskiej granicy i planowi, które on wcale nieźle robi. Taki raport może nam posłużyć i u władzy tureckiej i u Gub. fr. i angl. uprawni niejako nasze działanie na Niżu. By wchodził w jak najściślejsze stosunki z hanem z Czutad-Osman (?). By spełniał inne punkta zasadniczej instrukcyi, o ile można, żeby starał się usadowić. Wynalazłszy ludzi, emisaryuszowska robota z Niżu prędko pójdzie i prędko skutki zrobi. Dlatego też chociaż boleję nad niemożnością pospieszenia na Niż, tak jakbym pragnął, w tem opóźnieniu jednak koniecznością wypadków sprowadzonem, nie widzę uszczerbku. Jak tylko mamy posadę, do której możemy przyjechać i człowieka, który siedzi na Niżu, Niż w naszem ręku — dla tego przyszłym statkiem na Niż poszlę projekt współki handlowej p. Rad. z Achmetem, któryby oni ulegalizowali przez władzę turecką i któryby im niejako służył za firmę i prospekt domu komisyonerskiego, to zachęci, zaspokoi i ustali p. Rad. i będzie bardzo pożyteczne dla nas: drugą zaś prywatną umową Achmet-bej zabezpieczy się od wszelkich obowiązków i odpowiedzialności handlowych — tylko przyjmie takie, o których już poprzednio mówiłem w moich raportach, a które nam tylko same korzyści przedstawiają. Chciałem to wszystko w czasie pobytu mojego na Nizie uczynić, ale ponieważ ten się opóźnia, muszę chwycić się tej drogi, żeby sprawa nie ucierpiała i mam w Bogu nadzieję, że cierpieć nie będzie. Jak tę posadę będziemy mieli na Nizie, ja odpowiadam za Niż, że go żadna sprężyna z ogólnej roboty nie wyprzedzi i że on dostatecznie sprawie dopisze. Tylko w takim razie upraszam władzy albo o człowieka na Niż wyższych zdolności, jak zwyczajni agenci, takiego n. p. w połowie jak Zach. któryby przy charakterze, poczciwości, patryotyzmie, miał pojęcie polityczne o całej sprawie i robocie X-cia Pana. Albo o przysłanie człowieka takiego tu do Carogrodu, żeby mnie zastąpił, a ja pojadę na Niż. Trzeba wcześnie o takiego lub takiego człowieka się starać, żeby nas wypadki nie zastały bez tego człowieka — toby było źle — wypadki biegną, my je posuwamy zapewnie jak można najostrożniej i najroztropniej, ale posuwamy zawsze i nie będziemy w stanie wstrzymać — dla tego we wszystko trzeba się opatrzyć.

*6. lipca 1844.*

Jaśnie Oświecony Mości Książe! Raport mój zawiera o całym biegu X-cia Pana polityki, tu zaś umieszczam o rzeczach, które umieszczam zwykle w listach do X-cia Pana. P. Okuniewski, o którym pisałem poprzednio, powrócił do mnie kilka razy z oświadczeniami patryotycznemi, w których zdawało się być wielka szczerość, te oświadczenia za każdem widzeniem wzmagały się, najwięcej mi mówił o hetmanie Wasilewskim, o jego patryotyzmie i o możności porozumienia się z nim. Przy zachowaniu wszelkiej ostrożności z p. Okuniewskim, nie sądziłem rzeczą stosowną odstręczać go od siebie okazywaniem podejrzenia, dałem mu do czytania o monarchii i dynastyi, to czytanie zrobiło na nim wielkie wrażenie — przyszedł mi oświadczyć, że chce wracać do Odessy, zawiązać stosunek z hetm. Wasilewskim i z innymi znaczniejszymi ludźmi, powiedziałem mu, że bardzo rad jestem widzieć taki zapał w Polakach przybywających z kraju, ale że nie rozumiem dość wyraźnie jego życzeń i dlatego proszę, by mi je wyraził na pismie, co też on natychmiast w mojej stancyi uczynił i które to pismo przy niniejszym liście załączam — oświadczyłem, że chociaż tutaj nic podobnego nie widziałem, jednak szczerze bym pragnął, by sprawa nasza mogła mieć korzyść z tak dobrej i szlachetnej woli; natenczas prosił mnie, bym listu jego oprócz X-cia Pana nikomu nie powierzał: o jego ofierze, oprócz X-cia Pana nikomu nie mówił — co mu najsolenniej przyrzekłem. Mnie się widzi p. Okuniewski być szczerym człowiekiem i dobrym Polakiem, choć słaby na zdrowiu, ale gorącego bardzo ducha. Oświadczył mi, że jest rodem z Galicyi i ze Lwowa, był przy p. Eufrazym Miaczyńskim z Wołynia, który był emigrantem, z nim i on i jego brat pojechali na Wołyń, obaj byli w uniwersytecie charkowskim, on został aptekarzem a brat doktorem — był w Tulczynie, a potem prowizorem apteki p. Kling w Odessie, zkąd wyjechał do Carogrodu, zna pp. Mołodeckiego, Zbyszewskiego, Jokieszów, Kurcewicza, Buguckiego, dał mi tedy sposób wywiedzenia się o sobie, co też uczyniłem dzisiejszą pocztą za pośrednictwem panny S. Spodziewam się mieć odpowiedź za dni dziesięć.

Teraz daję rys o osobach, z którymi się zna p. Okuniewski. Według jego zdania generał Wasilewski, rodem z Pobereża, był przy gen. Woroncowie posądzony o stosunki z naszymi powstańcami, był niejakiś czas w podejrzeniu, ale za protekcyą Woron-

cowa został mianowany policmajstrem Odessy, na tym miejscu wiele dobrego świadczył Polakom i za to też został usunięty. mianowano go hetmanem kozaków naddunajskich, ma lat do 60, czerstwy i zdrów, okazuje wielką przychylność ku Polakom. ale to bardzo roztropnie i szczerze, u swoich kozaków jest nadzwyczaj lubianym, ma pod swojemi rozkazami 10 pułków. w których według p. Okuniewskiego jest bardzo dużo Polaków. Według tego pana jest on znany od pp. Sobańskich i Jełowickich — uskarża się na Rzewuskiego, że mu w ostatnim powstaniu nie dopisał i o mało go nie skompromitował. Według odebranej wiadomości wczoraj przez p. Okun.. hetm. Wasilewski miał odebrać rozkaz, iść z Odessy w kraj Czarnomorców, by wzmocnić linię kutaiską. Młodecki bardziej już znany. ma być bardzo poczciwy. Zbyszewski poczciwy i dobry Polak, ale za ciężki szlachcic, jest na czele domu handlującego zbożem. Ilkiewicze Feliks i Michał, jeden właściciel domów kilku, drugi doktor, dobrzy Polacy, ale ludzie łakomi. spekulanci i niepewnego charakteru. Kurcewicz też na wygnaniu. gorący, zagorzały nawet Polak. jest dyrektorem handlu suknem kompanii Hołowińskich. ma wziętość u Was. Buczacki z dawnej i znacznej ukraińskiej rodziny, człowiek młody, ma być gorący Polak. choć syzmatyk. zdatny, bez majątku. wspierany jest przez Wasilew. i niema żadnego stałego zatrudnienia. Radziłem p Okuniew.. by przyjął jakiś obowiązek w której z aptek Carogr., by do mnie nie przychodził tylko bardzo rano. by unikać pozorów. podejrzenia. tak będę czekał wiadomości z Odessy. Porozumienie się z hetm. Wasilew.. gdyby mogło być porządnie zawiązane przez p. Ok., ale kto wie, może Opatrzność Boża nim pokierowała i tu sprowadziła. Chociażby p. Okun. wyjechał ztąd przed odebraniem wiadomości od X-cia Pana, upraszam jednak o wolę X-cia Pana względem tej rzeczy — nie spodziewam się. żeby wyjechał przed tym czasem, ale gdyby wyjeżdżał, to mu powiem, że my jesteśmy gotowi na wszelkie zniesienie z Was.. ale żeby powiedział swoje widzenie i swoje warunki i przysłał do Caregr. człowieka z umówionym znakiem i upoważnieniem, któryby na przypadek potrzeby mógł pojechać i do Paryża. Upraszam X-cia Pana o wskazanie mi, o ile mógłbym się posunąć z zapewnieniem pomocy zewnętrznej, pieniężnej i dyplomatycznej fr. i angl.. jeśli przyjdzie do umowy z takim człowiekiem, to będą pierwsze zapytania. Gdyby udało się zniesienie się z Was., w takim razie, czy nie dobrze byłoby zakołatać do patryotyzmu i dobrej woli pp. Aleksandra Branickiego, Zenona Brzozowskiego i Zygm. Krasiń-

skiego i w tem proszę o wolę X-cia Pana, bym czasem nie przekroczył za granicę tej woli i w takim razie należałoby przysposobić tych panów do przyjęcia tej komunikacyi. Mówię o tem wszystkiem przed czasem, by czas nie zastał nas nieprzygotowanych. List z Odesy z 12. lipca od p. Wagnera potwierdza, że Polakom wzbroniony przyjazd do Odessy, dozwolony tylko niektórym z przyczyny, że cesarz ma przyjechać do Stawropola i że Odessa za blisko Kaukazu, ta bojaźń naszego wroga jest dobrą wróżbą. O Czerkiesyi co mogłem uzbierać, jest w raporcie, ta wojna czerkieska, gdybyśmy mieli zasoby pieniężne, mogłaby być dla nas stanowczym wypadkiem, posłanie z 50 Polaków w mundurach polskich z chorągwią polską, byłoby hasłem do dezercyi w wojsku rossyjskim i mogłoby być doskonałem działaniem na nieukontetowane mosk. wojska. Gdyby się udał ten wyskok, ogromnie by dobrze zrobił, gdyby się nie udał, nic by nie popsuł z zasnutej polityki X-cia Pana ten fakt powinien by być odrębnym zupełnie — na taki wypadek trzeba koniecznie kogo, żeby był zdolnym na Niż lub żeby mnie tu zastąpił, bo na Niżu trzeba stanąć w gotowości do wybuchu; przez Achmeta (Puławskiego) można przekupić Hassan-beja za 4 lub 5 tysięcy duk., a mając drugie tyle w ręku można uprowadzić tysiąc (nieczyt.) najmniej do Besarabii, ja za to głową moją ręczę, tylko trzeba kilku dobrych oficerów, a co potem będzie, to Bóg dopomoże — i ten wyskok nawet, gdyby się nie udał nie popsuje polityki słowiańskiej. Skombinowany z czerkieskim ruchem, mógłby być bardzo skutecznym — to są przyjazne okoliczności. Już powtórnym listem poleciłem Puławskiemu posuwać rzeczy na Niżu, szczególniej wynaleść emisaryuszów, jak odbierze wiadomość o P. z Odessy — choćby sprawa K. i P. wymagała mojego pozostania — gdyby jednak w Czerkiesyi rzeczy szły, pojadę zaraz na Niż, ale niech X-że Pan będzie pewnym, że nie zrobię żadnego kroku, któryby skompromitował Jego politykę tak dobrze zaczętą i tak dobrze postępującą z łaską Bożą. Pełen najwyższego uszanowania i uwielbienia dla Oboojga Xięstwa Państwa i Ich Świetnego Rodu, zostaje zawsze i wszędzie gotów na rozkazy X-cia Pana, prawdziwy i nieodmienny sługa

*M. Czajkowski.*

*P. S.* Przyjechał tu Polak fortepianista p. Skoczyński z Poznańskiego, mówi, że jest znajomym z PP. Mielżyńskimi, że jest obywatel poznański, podróżował po całej Rossyi, chce dać koncert

dla biednych Polaków. Mówiłem o tem z X. Lelen i z przełożoną Sióstr Miłosierdzia ułożymy tę rzecz jak najlepiej, byle artysta sam dopisał, to jest, żeby nie był jaki oszust — co staram się wyrozumieć — bardzo dużo ciekawych rzeczy dowiedziałem się od niego, które umieszczam w raporcie. P. Okuniewski ma brata komornikiem we Lwowie, to jest trzeci z tych panów. Pakiet do Odessy poszedł, gdyby X-żę Pan chciał, to wszystko można tam przesłać.

*16. lipca 1844, Carogród.*

Z Niża list odebrany od Puławskiego załączam, stosownie do woli władzy, nakazałem mu czynniejsze prowadzenie rzeczy, z tego listu władza widzieć może, co to za trudność w prowadzeniu i wygadzaniu agentom, chociaż Puław. jest jednym z lepszych i wyrozumialszych ludzi, drugiego szukać trudno. Napisałem słowa szczerej i przyjacielskiej prawdy i spodziewam się, że go potrafię skierować na drogę powinności służbowej trochę ściślejszą, konieczna jest potrzeba, abym jechał na Niż, ale też i niemniejsza, bym tu pozostał i doczekał się przynajmniej p. Drozd. lub Żukow., żebym mu zostawił do strzeżenia osadę i korespondencyę — z zostawionym drogmanem potrafi to zrobić, a tymczasem może rozjaśni się rzecz W. i P. Teraz opuszczać Carogród byłoby może niebezpieczną rzeczą dla polityki X-cia Pana: trzeba koniecznie ze dni 20 zaczekać, w liście do X-cia Pana ten powód wyjaśniam. Puławski jest osobą ważną na Niżu dla nas, przez niego można kupić milczenie i dobrą wolę Turków, przy nim drugi agent rzutniejszy i więcej Polak koniecznie jest potrzebny i to jak najspieszniej, warto wyegzaminować p. Aleksandra Ilińskiego, przedstawionego mi przez Budzyńskiego, poręka tego ostatniego jest dla mnie dobrą rękojmią. Z p. Rad. rzecz się ułoży. Pisałem tą pocztą do niego, pisałem także do Puław., pokazując, że handlowanie pijawkami nie przeszkadza komisyjnemu handlowi, zresztą żona p. Rad. większy ma głos w tej rzeczy jak mąż, przez nią też działać trzeba, ma się rozumieć, że dla nas wszystko jedno, czy p. Rad. handluje pijawkami czy zbożem, byle był na Niżu i był dla nas ochotny. Handlowanie pijawkami na wyspach moskiewskich jest dla nas korzystnem, bo styka nas z wojskiem mosk. To wszystko wyłożyłem Puław., poleciłem, by z p. Rad.

był z wizytą u Hassan-beja w Babadach, przejechał przez Sary-Kios i widział Ganczarowa,[1]) namówił go do emisarki i żeby był w Czatel-Osma u hana Tatarów, do czasu mojego przyjazdu na Niż, będę wskazywał Puław. co poczty, co ma robić w szczegółach. Tym sposobem może pójdzie rzecz potrzebną drogą.

*26. lipca 1844, Carogród.*

Odebrałem dwa listy od p. Puławskiego, pierwszy nic nieznaczący, drugi ważny, gdyż donosi o kupnie domu przez p. Radoszewicza i o kupnie czyfliku przez p. Polakow. Obydwa kupna pod imieniem p. Puławskiego — obydwa te listy przesyłam władzy. Poleciłem p. Puław., by spisał umowę z p. Rad. o dom handlowy komisyjny, którą mu napisałem i posłałem, żeby ją legalizował u Hassan-beja, toby służyło za prospekt temu domowi. Żeby u p. Polakow wyrobił zręcznie miejsce na jednego lub dwóch Polaków. Żeby teraz już mając posadę właściciela, przyspieszał zawiązanie stosunku z hanem w Czatał-Osman, żeby wyszukiwał ludzi na emisaryuszów między kozakami i Tatarami, żeby jadąc do Babadach, przejeżdżał przez Sary-Kioi i tam się starał widzieć z Ganczarowem, żeby robił wskazane mu instrukcyą raporta o Niżu i o tem, co się dzieje nad granicą w Besarabii. Poleciłem mu, żeby nie korespondował z p. Wielogłowskim inaczej, tylko przez pośrednictwo władzy, gdyż przypadkiem dowiedziałem się, że p. Wielogłowski zobowiązywał go do takiej korespondencyi,

---

[1]) Osip Honczarow, o którym często mowa, zwał się właściwie Hanczar. Dziad jego pochodził z Podola, z miasteczka Lityna i z rzemiosła był zdunem (hanczar), zkąd i nazwisko. Otóż ów Jakim Hanczar, niewiadomo z jakiego powodu uciekł do Galicyi, zamieszkał czas jakiś w Łukawicy, zkąd za Dobrudżę przeniósł się. Tu z ojca Semena urodził się Osip. Około r. 1860 wrócił do Rossyi i zamieszkał, zapewne z rozkazu rządu, w Chwałyńsku gub. Saratowskiej w tamtejszym klasztorze. W końcu wstąpił do zakonu jako mnich, nazwany został Joasafem; w r. 1879 tamże życie zakończył.

Jako materyał uzupełniający do traktowanej przez nas sprawy służyć mogą następujące rossyjskie pisma: A. Kudriawcow: Oczerk istorii staroobriad. w Dobrudzie, 1864; Kondratowicz: Zadunajskaja Sicz, odbitka Kijewsk. Stariny; Bachtałowskij: Osip Siemionowicz Ganczar (1796—1879) Russkaja Starina 1883 r.

dając mu adres na to, coby mogło być szkodliwe przez złe użycie. P. Puławski ma posadę dobrą, on u władzy miejscowej stanie się poręczycielem wszystkich Polaków tam przybywających z ramienia X-cia Pana i poręczycielem ich przed mieszkańcami Niżu nawet. Przez niego zawczasu można i należy wchodzić w ścisły stosunek z Hassan-bejem, gdyż tego człowieka trzeba kupić, jak przyjdzie się organizować na prędce pomoże, a wtenczas wszystko zrobimy. Posadzenie się p. Puławskiego na Niżu jest takie, jakiegośmy tylko życzyć sobie mogli. Teraz trzeba kilku ludzi rzucić na Niż, jednego tylko, żeby był płatnym przez władzę, innym tylko koszta podróży się zapłaci, a tu utrzymanie się wyrobi w służbie p. Rad. lub p. Polak., ja mniemam, że to się uda zrobić i zaraz zacznę negocyacye o to, tylko potrzeba ludzi zdolnych, chętnych, niegłupich a najbardziej niewybrednych i upatrywanie innemi takich ludzi w gotowości jak najgoręcej upraszam władzę. To jest konieczna potrzeba. Z chrześcijanami p. Puław. Turek nie potrafi prowadzić rzeczy, bo u nich nie będzie miał zaufania i straci zaufanie u Muzułmanów: dla tego trzeba chrześcijanina, ukraińca, znającego Ukrainę i któryby pojmował potrzebę naszej sprawy. Co do kosztów podróży możeby nareszcie prosząc rząd francuski, można otrzymać kilka przejazdów. Możeby d'Etienne wysłał którego jako braciszka, a w końcu z Marsylii statkiem żaglowym można za 20 lub 25 kolonatów tu przyjechać. Tak przyjechał tu jeden Polak, nazwiskiem Bauer (?), za taką sumę z żywnością mając w Marsylii kogo z zaufanych, można wynaleźć okręt, za miesiąc tu stanąć, a przy pomyślnym wietrze i prędzej. Przy posadzie p. Puław. z ludźmi a przynajmniej z człowiekiem potrzebnym, przy mojem przezimowaniu na Nizie, mnie się zdaje, że tak można rzeczy przysposobić, że na wiosnę będziemy gotowymi.

*26. lipca.*

Jaśnie Oś. M. Książę! Odebrałem pierwszą wiadomość o p. Okuniewskim. P. Chotkowski tak pisze: P. Okuniewski był prowizorem w kilku aptekach w Odessie, nic złego przeciwko niemu nie mówią, owszem znają go za uczciwego człowieka, tylko zarzut na nim jest, ze wielki pasyonat i niedyskretny w tłumaczeniu się, nosił się porządnie i żył wygodnie, gdyż nim się opiekował generał Wasilewski, były policmajster — wszystko zrachowawszy,

może pan pomódz p. Okuniewskiemu do zarekomendowania do obowiązku. PP. Zbyszewscy odjechali na kilkanaście dni do Bałty, list u siebie zatrzymałem. Pani Szemiot wyjeżdża do Petersburga do syna. obywateli polskich dotąd niemasz. wojska przechodzą na Kaukaz, ale nie przez Odessę i t. d. Czekać będę do przyszłej poczty. może co ważniejszego dowiem się od p. Zbyszewskiego, ta wiadomość nic nie mówi złego względem p. Ok., ale mnie dostatecznie zaniepokaja. jedna tylko ważna rzecz się potwierdza. że zna gen. Wasilewskiego — to dotąd p. Okuniewski bardzo porządnie się prowadzi, widuję go, ale on mnie o nic nie pyta, a swoje zawsze powtarza. Po odebraniu poczty nie widziałem go, nie wiem tedy, czy co odebrał z Odessy, iść do niego ani posyłać nie wypada mi, żeby go nie kompromitować, jesli przyszłą pocztą dostanę coś dostateczniejszego. to będę się starał wyprawić go do Odessy napowrót jak najprędzej — przed wyjazdem jego pokażę mu osadę i zakład Sióstr Miłosierdzia, żeby na przypadek jaki mógł się tłumaczyć, że to, co zbierał, chciał przesłać dla Sióstr do rozdania biednym, za filantropię nie tyleby karali, co za politykę i filantropia mogłaby pokrywać niejako politykę.

Fr. Rawita-Gawroński.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Fryderyka Chopina
## pierwsze lata w Paryżu.
### (1831—1838).

**STUDYUM BIOGRAFICZNE.**

(Ciąg dalszy).

Z pomiędzy licznych poetów, zamieszkałych w Paryżu, najserdeczniejszy stosunek łączył Chopina z Heinem. Poznał ich z sobą Hiller (jeszcze za bytności Mendelsohna), poczem spotykali się u wielu wspólnych znajomych: u Liszta, u Berlioza, u Francka. Twórca *Buch der Lieder* należał do tego samego kółka. Dla Chopina od pierwszej chwili zapłonął uwielbieniem, nie tylko dla jego muzyki, którą wynosił ponad wszystko, ale i dla człowieka, którego polubił nadzwyczaj. Uwielbieniu temu dał Heine niebawem wyraz w jednej ze swych korespondencyi paryskich, gdzie w tych słowach, po rozpisaniu się o Liszcie i Berliozie, skreślił sylwetkę Chopina: „Byłoby niesłusznem, abym przy tej sposobności nie wymienił jednego z fortepianistów, który po Liszcie najwięcej hołdów doznaje. Jest nim Chopin: jaśnieje on między nimi nie tylko jako wirtuoz przez techniczne wydoskonalenie, ale jako doskonały kompozytor. Jest to człowiek w całem znaczeniu wyrazu niepospolity. Stał się też ulubieńcem owego wyższego towa-

rzystwa, które w muzyce największej przyjemności ducha i umysłu szuka. Sława jego ma cechę arystokratyczną: wonna pochwałami wyższego towarzystwa, jest również wykwintna, jak jego osoba. Urodzony w Polsce z matki Polki i ojca Francuza, część swego wychowania odebrał Chopin w Niemczech. Wpływ tych trzech narodowości złożył się w nim na całość doskonałą, w której jaśnieją najlepsze przymioty tych trzech narodów. Polska dała mu zmysł rycerski i swą historyczną boleść: Francya — lekki wdzięk i gracyę; a Niemcy — romantyczną głębokość. Natura zaś wyposażyła go piękną, wysmukłą, nieco wychudłą nawet postacią, najszlachetniejszem sercem i geniuszem. Tak, Chopinowi trzeba przyznać geniusz i to geniusz w całem znaczeniu tego słowa. Niepodobna nazwać go wirtuozem, on jest poetą: umie wlać w nas poezyę, która w jego duszy żyje.[1]) Nic nie może mierzyć się z rozkoszą, jaką słuchaczom sprawia Chopin, improwizując przy fortepianie. Wówczas nie jest on Polakiem, ani Francuzem, ani Niemcem; zdradza on w owej chwili daleko wyższe pochodzenie: jego ziemią rodzinną zdaje się być wtedy kraj Rafaela, Mozarta i Goethego, a prawdziwą ojczyzną poetyczne królestwo marzeń. Gdy on tak improwizuje, wydaje mi się, jakby mię odwiedzał ziomek z ukochanego kraju i opowiadał o najciekawszych zdarzeniach z czasu mej tam niebytności. Nieraz chciałbym mu przerwać i obrzucić pytaniami: Jakże się powodzi pięknej rusałce, co tak zalotnie umiała narzucać srebrzysty swój welon na zielonych zwojach? Czy u nas róże zawsze tak dumne? A drzewa czy ciągle śpiewają tak pięknie podczas księżycowych nocy?" Wogóle Heine w swoich korespondencyach do *Augsburger Zeitung*, raz po raz wspominał o Chopinie, zawsze entuzyastycznie. Widocznie był pod jego urokiem.[2])

To samo mógł powiedzieć o sobie Eugeniusz Delacroix, sam wielki artysta, a przytem jeden z najszlachetniejszych ludzi swego czasu. Wielbiciel Mozarta i Beethovena, od pierwszej chwili poznania stał się i on, jak tylu innych, entuzyastycznym wielbicie-

---

[1]) W tymże liście pisał o nim Heine, przeciwstawiając go zwłaszcza Lisztowi: „Seine Finger sind nur die Diener seiner Seele, und diese wird applaudirt von Leuten, die nicht bloss mit den Ohren hören, sondern auch mit der Seele".

[2]) W liście z d. 20. czerwca 1833 do Hillera pisze Chopin: „J'ai rencontré hier Heine qui m'a chargé de vous grüssen herzlich und herzlich..."

lem geniuszu Chopina. Rozkoszował się jego muzyką, zarówno kompozycyami, zwłaszcza drobniejszemi, jak i improwizacyami, a dla człowieka, z którym szczerze się zaprzyjaźnił, jak przystało na ich bratnie dusze, miał zupełnie wyjątkowe przywiązanie i szacunek. W dzienniku swym, w którym zapisywał wrażenia z każdego dnia, kiedy mu wypadło pisać o Chopinie, nazywał go w zachwycie „boskim". „Widziałem się sam na sam z Chopinem — pisał raz w swym dzienniku — którego bardzo kocham, a który jest człowiekiem rzadkiej dystynkcyi: to najprawdziwszy artysta, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Jest jednym z tych niewielu, których można podziwiać i czcić". Jakby wywdzięczając się za takie uwielbienie dla siebie, Chopin, pisząc raz do Franchomme, tak się wyraził o swym przyjacielu: „Eugeniusz Delacroix... Jest to jeden z najbardziej godnych podziwu artystów, przeżyłem z nim cudowne godziny. Czci Mozarta i zna wszystkie jego opery na pamięć". Istotnie Delacroix był wyjątkowo muzykalną naturą. Jako taki, wyrażał się o swym *ami angélique,* jak nazywał Chopina: „Quel charmant génie!" Jeden ze swych listów do Chopina, z którym korespondował czasami, zakończył Delacroix takim dowcipem: „Vous qui méritez des autels et *un hôtel* que je nous souhaits à nous deux". Wszystko to dowodziło, że między wielbicielami Chopina, których niebawem miał tylu, może pierwsze miejsce zajmował Delacroix.

Już to wielbicieli przybywało mu z dniem każdym, a wielu rekrutowało się i z pomiędzy największych sław literackich i artystycznych francuskich, z którymi się poznawał głównie przez Berlioza i Liszta. Nie wszystkich lubił jednakowo, jak n. p. Wiktora Hugo, którego mimo jego sławy jakoś nie mógł traktować na seryo; niektórzy, choć z nimi pozostawał na przyjacielskiej stopie, byli mu dość obojętni w gruncie rzeczy, jak n. p. Sainte-Beuve; ale za to nie brakło i takich, dla których miał wiele sympatyi. Do tej ostatniej kategoryi należeli w pierwszym rzędzie: poeta Alfred de Vigny, dziennikarz Jules Janin, dramaturg Ernest Legouvé,[1]) rzeźbiarz Bovy, aktor Boccage.

---

[1]) Legouvé w swych Soixante ans de Souvenirs tak pisze o swem poznaniu się z Chopinem: „Chodź pan — rzekł raz do niego Berlioz na początku lat trzydziestych — pokażę panu coś, czegoś nigdy nie widział, i kogoś, kogo nigdy nie zapomnisz". Tem czemś i tym kimś był właśnie Chopin.

Jeszcze nie upłynęło cztery miesiące od chwili, gdy Chopin znalazł się na bruku Paryża, a już, jak sam to w swym liście do Wojciechowskiego z d. 25. grudnia 1831 r. stwierdzał, zdołał sobie wyrobić „znaczne imię“ w paryskim świecie muzycznym. Zdawałoby się więc, że powinien być rad z siebie, że powinien być pełnym optymizmu, że na życie powinien się zapatrywać różowo, że powinien czuć się szczęśliwym i w dobrym humorze. Tymczasem miało się całkiem przeciwnie. Choć listy, które pisywał do rodziny, były pełne facecyi, to jednak nastrój, w jakim się znajdował, był raczej smętny i smutny, niż wesoły. Do domu nie pisał o tem, ale przed Wojciechowskim nie robił tajemnicy, że mu było smutno, że mu we znaki dawała się szalona tęsknota, że choć nie miał wyraźnych powodów do skarg, to jednak przez to, że poskarżyć się nie miał komu, czuł się nieszczęśliwym i osamotnionym. Choć cieszył się ogólną sympatyą, choć znalazł ludzi, którzy mu wiele okazywali życzliwości i przyjaźni, to przecież on nie miał takiego usposobienia, żeby przed każdym zwierzać się ze swych bolów i spleenów. Takiego przyjaciela, jak Wojciechowski lub Matuszyński, jeszcze tu nie znalazł, ani pośród swoich, ani wśród obcych. A przytem ze zdrowiem był niedobrze... Ztąd, gdy przyszło Boże Narodzenie, już drugie, które spędzał na obczyźnie, nie mógł się opędzić dojmującemu smutkowi. Wprawdzie i wilię i święta spędził w licznem gronie ziomków, tak, że mógł mieć wrażenie, iż znajduje się w kraju, między swoimi, ale ci swoi, to jednak byli ludzie obcy. Dlatego, kiedy w pierwsze święto Bożego Narodzenia, korzystając z wolnej chwili, zasiadł do pisania listu do Wojciechowskiego, pod pióro cisnęły mu się same smutne myśli. Oto niektóre z nich: „Ach, jakże bym chciał ciebie mieć przy sobie. Nie uwierzysz, jak mi tu smutno, że nie mam komu się wyjęczyć. Wiesz, jak łatwo zabiorę znajomość, wiesz jak lubię towarzystwo ludzkie, więc też takich znajomości mam po uszy; ale z nikim, z nikim westchnąć nie mogę. Jestem zawsze, co się tyczy uczuć, w s y n k o p a c h. Dlatego męczę się, i nie uwierzysz, jak szukam jakiej p a u z y, to jest samotności, żeby do mnie cały dzień nikt nie zajrzał, nikt nie zagadał...“ „W tej chwili odbieram twój list... przenoszę się jeszcze bardziej myślą do Ciebie, biorę Cię za rękę i płaczę... Kiedyż my się zobaczymy?... Może wcale nie, bo seryo mówiąc, zdrowie moje nędzne. Wesoły jestem powierzchownie, szczególniej, gdy się znajduję pomiędzy swojemi, ale wewnątrz coś mnie morduje. Jakieś przeczucia niedobre, niepokój, złe sny, albo bezsenność, tęsknota, obojętność na wszystko.

chęć życia, to znów chęć śmierci. Czasami jestem, jak w odrętwieniu umysłu: czuję jakiś błogi spokój w duszy; pamięć nasuwa mi obrazy, od których uwolnić się nie mogę, i to mnie dręczy nadzwyczajnie. Jednem słowem, miotany jestem mieszaniną trudnych do opisania uczuć...“ Wskutek tego, ile razy był sam, czuł się nieszczęśliwym. Czego mu brakło? Niekiedy sam by nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Wszak, jak na początek, wiodło mu się wcale nie źle; a przytem był w centrum sztuki, na wielkim świecie, w stolicy cywilizacyi. Wszystko to przyznawał, a jednak tęsknił i miał chwile zwątpienia. „Mnie tutaj los zapędził — pisał niedawno do Wojciechowskiego — oddycha się swobodnie, ale może też dlatego więcej się wzdycha!“ On wzdychał więcej, niż go posądzano o to, a jeśli mu z piersi tak często wyrywały się westchnienia, to ich głównym powodem był niezawodnie ten, że — jak powiada Byron o Childe Haroldzie — „nie miał serca, przed którem mógłby wylać swoje“.

## IV.

W liście do Elsnera z d. 14. grudnia 1831 r. pisał mu Chopin między innemi: „Rodzice zapewne Panu powiedzą o odłożeniu mego koncertu na 25. (grudnia). Mam wielką biedę z układaniem onego i żeby nie Paër, Kalkbrenner, a szczególniej Norblin, który się Panu ślicznie kłania, nie mógłbym dać w tak krótkim czasie (oni to mało 2 miesiące na Paryż rachują). Baillot, bardzo grzeczny i przyjemny, gra kwintet Beethovena i Kalkbrenner ze mną Duo z akompaniamentem 4 fortepianów“. Obszerniej o tym projektowanym koncercie rozpisał się Chopin dwa dni przedtem w liście do Wojciechowskiego: „Daję koncert 25. grudnia. Baillot, ów rywal Paganiniego, Brodt, sławny oboista, przyjmą w nim udział. Ja grać będę mój F-moll Koncert, Waryacye B-dur, na które odebrałem przed paru dniami z Kassel od jednego Niemca, rozentuzyazmowanego temi waryacyami, dziesięcio-arkuszową recenzyę; gdzie po ogromnych przedmowach, przystępuje do rozbioru onych, takt w takt. Tłumaczy, że to nie są Waryacye, jak każde inne, tylko, że to jest fantastyczne *tableau*. Na drugą waryacyę mówi: że Don Juan z Leporellem biega, na 3-cią, że ściska Zerlinę, a Masetto w lewej ręce się gniewa, na Adagio 5-ty takt powiada, że Don Juan ca-

łuje Zerlinę w Des-dur!... Dziwna zaprawdę imaginacya recenzenta, który się uparł koniecznie, aby to drukować w *Revue musicale*, w dzienniku szwagra jego, Fetisa. Poczciwy Hiller ledwo mię od tego uchronił, mówiąc temu panu szwagrowi, że to zamiast być mi pomocnem, może tylko zaszkodzić.[1]) Lecz wracam do koncertu. Oprócz F-moll i Waryacyi gram z Kalkbrennerem Duo jego, czyli *Marsza Suivie d'une Polonaise* na 2 fortepiany z akompaniamentem 4 innych. Jest to szalona myśl. Jeden jest ogromny fortepian, który się Kalkbrennerowi należy, a drugi malutki, monokordny, ale donośny, jak dzwoneczki, co dla mnie przeznaczony. Na czterech zaś innych dużych, głośnych, jak orkiestra, grać będą: Hiller, Osborne, Stamaty i Sowiński... Pomagają mi jeszcze w koncercie Norblin, Vidal i sławny altowiolista Urhan. Bilety plusują się. Śpiewaczki najtrudniej było dostać. Rossini byłby mi której z opery pozwolił, gdyby sam mógł to uczynić bez pana Roberta, drugiego dyrektora, który, wiedząc, że jak raz pozwoli, to na 200 lub 300 podobnych próśb narażonym będzie (ostatecznie nie pozwolił)". Ale w końcu znalazły się dwie śpiewaczki, panie Isambert i Tomeoni, a nawet i śpiewak, p. Boulanger, którzy przyrzekli swój „łaskawy współudział“ dla wypełnienia części wokalnej. Ale pomimo tak wpływowych protektorów, jak Rossini, Kalkbrenner, Baillot i inni, jeszcze i 25. grudnia koncert nie mógł dojść do skutku. Stało się to możliwem dopiero po upływie dwóch miesięcy, d. 25. lutego 1832 roku. W ciągu tego czasu kilkakrotnie zmieniał się komplet pianistów, mających zasiąść do owych czterech „głośnych jak orkiestra“ fortepianów. Tak n. p. w połowie stycznia miał być jednym z nich Mendelsohn, lecz projekt ten spełzł na niczem.[2])

---

[1]) Pisze to Chopin jakby z ironią, jakby mu ta „poczciwość“ w tym razie wydała się trochę podejrzaną. Waryacye zasługiwały na taki entuzyazm, a gdy o nim z niemniejszym entuzyazmem pisał Szumann i inni, wcale to Chopinowi nie zaszkodziło. Bądź co bądź, Hiller tu zbyt się okazał przezornym... A Chopin możeby nic nie miał przeciwko ogłoszeniu tej recenzyi w „Revue musicale“, gdzie Fetis może by je wydrukował, gdyby nie Hiller, który mu to potrafił wyperswadować.

[2]) W liście do rodziny z d. 14. stycznia 1832 r. pisze Mendelsohn: „Nächste Woche ist ein Concert eines Polen: in dem muss ich (a więc nie z wielką ochotą!) ein sechspersönliches Stück mit Kalkbrenner, Hiller und Comp. spielen; erschreckt also nicht, wenn Ihr irgendwo meinen Namen geradebrecht seht...“ Skończyło się na tem,

Po takich krokach przedwstępnych,[1] po rozprzedaniu prawie wszystkich biletów (po 10 franków), z których znaczną wię-

że go zastąpił Stamati. Ale na programie figuruje jeszcze Mendelsohn. Oto odnośny numer programu: „Deuxième partie. 1º Grande Polonaise, précédée d'une Introduction et d'une Marche, composée pour dix Pianos par M. Kalkbrenner, et exécutée par Messieurs Kalkbrenner, Mendelsohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin. Dziwna rzecz, że gdy Mendelsohn nie dopisał, Chopin musiał zwrócić się do Stamatiego, a nie do Liszta...

[1]) Jak dalece były czynione starania, żeby ten koncert mógł mieć powodzenie materyalne, a więc, żeby się odbył przy pełnej sali, pozwala się domyślać notatka dziennikarska, przeznaczona dla dziennika Le Temps, w którym jednak nie została pomieszczona. Chodziło o to, ażeby tym koncertem zainteresować publiczność francuską. W tym celu zredagowali przyjaciele Chopina — z kasztelanem Platerem na czele — następujący artykulik, który istotnie mógł się stać niezłą reklamą, gdyby nie redaktor dziennika, który się nie zgodził na jego zamieszczenie. Artykulik — którego autograf zachował się w zbiorach Biblioteki polskiej w Paryżu — brzmiał jak następuje: „Si l'encouragement des beaux arts est un des plus nobles usages que l'on puisse faire des faveurs de la fortune, combien la puissance que l'on se prouve par ce moyen n'est elle pas rehaussée, si l'on peut en même temps faire un acte de générosité Nationale et s'associer à une sympathie qu'eprouve tout un grand peuple. La chute deplorable de Varsovie qui a fait crouler tout l'Edifice social de Pologne, qui a couvert de deuil tout ce pays, brillant naguères de tout l'éclat de l'héroisme et de la gloire, cette chute a entrainé celle des toutes les familles, de toutes les existences particulières. Dans ce nombre se trouve atteint un jeune artiste Polonais d'un talent distingué, Mr. Chopin. La France un jour preta ce nom à la Pologne. La Pologne le presente aujourd'hui à la France. Mr. Chopin donnera jeudi prochain à 2 heures après midi rue Cadet N-ro 9 un concert de Piano. Des improvisations du jeune Polonais retraceront sur des thèmes prix dans la musique nationale et les chants qui ont fait affronter aux braves defenseurs de la Patrie tous les dangers d'une lutte inegale et les douces joies d'un espoire trompeur et la complainte qu' inspire à toute âme bien née le sort présent de la Pologne. Nous ne doutons pas que le nombre des auditeurs qui rempliront la salle Pleyel Rue Cadet 9 jeudi prochain ne prouve encore une fois, combien est vive, sincère et genereuse la sympathie, que les Francais eprouvent pour leurs anciens frères d'armes, pour leurs emules en amour des arts, de la gloire et de la liberté". Autograf niniejszy, przeznaczony „pour Monsieur le Redacteur du Temps", jest opatrzony następującym dopiskiem Ludwika Platera: „O pierwszem wystąpieniu Chopina w Paryżu".

O wiele względniejszym i usłużniejszym, aniżeli „Monsieur le Redacteur du Temps" okazał się Monsieur le Redacteur de la Revue Musicale, życzliwie dla Chopina usposobiony Fétis, który w swem

kszość rozebrali Polacy, tudzież po rozdaniu bardzo wielkiej ilości biletów gratisowych, które wraz z zaproszeniem otrzymali liczni przedstawiciele świata muzycznego, artystycznego, literackiego i dziennikarskiego, d. 26. lutego o godzinie 8-ej wieczorem odbył się zapowiedziany koncert de M. Frédérick Chopin de Varsovie, koncert, który go odrazu postawił między najpierwszymi pianistami świata. Gra Chopina, zarówno jak i jego kompozycye, wy-

---

pismie, w N-rze 48 z d. 7. stycznia 1832, w taki sposób, na tydzień przed tym koncertem, pisał o nim: „Un grand concert sera donné le 15 par M. Frederick Chopin, de Varsovie, dans les salons de M. Pleyel. MM. Baillot, Vidal, Norblin, Tilman et Urhan executeront un quintetto de Beethoven. Mais ce qui doit surtout piquer la curiosité, c'est une grande polonaise, composée par M. Kalkbrenner, et executée par l'auteur, MM. Mendelsohn, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin, sur six pianos. On trouve des billets chez les principaux marchands de musique". W tydzień później, w przeddzień koncertu, czytelnicy Revue musicale wyczytali o nim, co następuje:

„Le temps est fertile en concerts... Demain dimanche (15) à huit heures du soir, concert de M. Chopin, de Varsovie, dans les salons de MM. Pleyel et Comp. rue Cavet, N-ro 9.

Le programe de celui-ci a de quoi piquer la curiosité des amateurs de bonne musique; il est composé des morceaux suivants:

1. Quintetto de Beethoven, executé par MM. Baillot, Vidal, Urhan, Tilmant et Norblin;
2. Duo chanté par M-elles Tomeoni et Isambert;
3. Concerto pour piano, composé et executé par M. F. Chopin.
4. Air chanté par M-elle Tomeoni.

Deuxieme partie.

1. Grande polonaise precedée d'une introduction et d'une marche, composée pour six piano, par M. Kalkbrenner, et executée par MM. Kalkbrenner, Mendelsohn-Bartholdy, Hiller, Osborne, Sowiński et Chopin.
2. Air chanté par M-elle Isambert.
3. Solo de hautbois par M. Brod.
4. Grandes variations brillantes sur un thème de Mozart, composées et executées par M. Chopin.

On trouve des billets aux magazins de musique de MM. Schlesinger, rue de Richelieu N-ro 97; I. Pleyel et Comp., Boulevard Montmartre: Pacini, Boulevard des Italinns; Lemoine, rue de l'Echelle.

NB. Dziwna rzecz, Niecks pisze w swej książce o Chopinie, że programu tego koncertu nie udało mu się odszukać. Czyżby go nie szukał w Revue musicale? Oryginalny program tego koncertu znalazł się między papierami po Chopinie. Ogłosił go M. Karłowicz na str. 184 swej cennej pracy.

wołały zdumienie wśród słuchaczów. Sala trzęsła się od oklasków, a między najgłośniej klaszczącymi nie brakło i takich pianistów jak Liszt i Mendelsohn.[1]) Wszyscy się rozeszli pod najlepszem wrażeniem, rozentuzyazmowani, a i sam Chopin musiał być zadowolony pod każdym względem: nie tylko z powinszowań, z któremi przyjaciele cisnęli się do niego, ale nawet i z rezultatu pieniężnego, bo mu koncert bądź co bądź przyniósł znaczny dochód. Co prawda, koszta były prawie żadne, bo salę miał darmo, a wszyscy uczestniczący artyści popisywali się po tej samej cenie. Słowem udało się wszystko. Szczególniej cieszyli się przyjaciele Chopina, ci prawdziwi przyjaciele, którzy mu nie zazdrościli. Bo byli i tacy, którym ten koncert dał wiele do myślenia... o sobie, a którzy tem samem mogli być trochę zaniepokojeni tym nadzwyczajnym sukcesem młodego Polaka. Antoni Orłowski, który, jako skrzypek, nie potrzebował zazdrościć Chopinowi, tak pisał d. 9. marca 1832 r. do rodziców swych o tym koncercie: „Drogi nasz Fryderyk dał koncert, który mu przyniósł wielką reputacyę i trochę pieniędzy. Wszystkich tutejszych fortepianistów zabił na śmierć, cały Paryż ogłupiał. Zresztą ja mu to prorokowałem, jak tylko przyjechał". Liszt, który właśnie należał do tych „zabitych na śmierć", tak z czasem pisał o tym koncercie Chopina: „Pamiętam dobrze pierwszy jego popis w salonach Pleyela. Grzmiące oklaski, jakiemi go wtedy powitano, nie wydały mi się jeszcze dostatecznem uznaniem dla tego samorodnego talentu, który w dziedzinie uczucia poetycznego tak cudowne porobił odkrycia, a sztukę na tak nieznane dotąd pchnął tory. Zupełne to na pierwszym zaraz wstępie zwycięstwo, wbrew zwyczajnym w takich razach kolejom, ani go olśniło, ani upoiło: nagrodę swoją przyjął bez dumy, ale też i bez fałszywej skromności: słusznie mu się należała, więc też z jej powodu, jak czynić zwykli tylko trafu ulubieńcy, w dziecinną próżność się nie wzbijał". Co najważniejsza, i na czem Chopinowi z pewnością zależało najbardziej, to, że krytyka w zupełności stwierdziła pochwałę Orłowskiego, że odrazu po tym koncercie witała w Chopinie „jedną z najświetniejszych gwiazd świata artystycznego i pianistę, który tak w pogłębieniu techniki fortepianowej, jako też w poezyi muzycznej wzniósł się nad wszystkich swych współzawodników".

---

[1]) Mendelsohn, choć tak gorąco oklaskiwał Chopina, nic o tym jego pierwszym koncercie nie napisał w listach do rodziny.

W podobnym duchu rozpisał się o tym koncercie Fetis w swej *Revue musicale* z d. 3. marca 1832 r. Według niego był to jeden z najświetniejszych koncertów w całym sezonie zimowym. Oto niektóre główniejsze ustępy z jego obszernego sprawozdania: „Mamy tu do czynienia z młodym człowiekiem, który się poddaje swym wrodzonym popędom, a nie biorąc sobie nikogo za wzór, znalazł coś zupełnie nowego, a w każdym razie cząstkę tego, czego tak długo szukano daremnie, mianowicie, obfitość oryginalnych myśli, których pochodzenia nigdzie wskazać niepodobna. Nie chcemy utrzymywać przez to, że pan Chopin jest obdarzony potężną organizacyą jakiegoś Beethovena, albo żeby w jego muzyce znajdowały tak tytaniczne rzuty, jak w dziełach tego mistrza. Beethoven pisał utwory na fortepian, lecz mnie tu chodzi o muzykę fortepianową, a skoro się przyłoży tę miarę, to w utworach pana Chopina widzę oznaki rzeczywistego postępu, który z biegiem czasu w tej dziedzinie sztuki znaczny może wywrzeć wpływ". Co się tyczy K o n c e r t u F-m o l l, to słuchacze — zdaniem Fetisa — byli nim „zdumieni i przyjemnie zaskoczeni, zarówno nowością melodyi i rodzajem pasażów, jak modulacyami i charakterem motywów". „Jest dusza w tych melodyach, jest fantazya w tych pasażach, a wszędzie jest oryginalność. Zbyt bujna modulacya, oraz pewien nieład w powiązaniu motywów, tak, że chwilami ma się wrażenie, że się słucha improwizacyi, a nie kompozycyi, oto jedyne braki, które się dają zauważyć obok już podniesionych przymiotów. Lecz braki te na razie pozostają w zawisłości od wieku artysty; znikną one przy dojrzalszem doświadczeniu. Jeśli późniejsze dzieła pana Chopina odpowiedzą jego debiutowi, to nie może ulegać wątpliwości, że dojdzie on do świetnej i dobrze zasłużonej sławy. Również i jako wirtuoz zasługuje młody artysta na pochwały. Gra jego jest elegancką, lekką, pełną wdzięku i odznacza się blaskiem i czystością. Można mu zarzucić, że nie dobywa dosyć tonu z instrumentu, pod którym to względem jest podobny do większości pianistów niemieckich: atoli można być pewnym, że w tym kierunku jego sztuki zwrócone studya pod przewodem Kalkbrennera, ułatwią mu przyswojenie sobie tej zdolności, od ktorej n e r w wykonania zależy i bez której dźwięczność instrumentu nie może dowolnie być zmieniana."

Nie wszyscy jednak podzielali to zdanie Fetisa, albowiem — jak to stwierdza Hiller — po tym koncercie „nie było już mowy o jakichkolwiek brakach techniki". Zdaje się, że potrosze i sam Kalkbrenner zaczynał być tego zdania, uznał bowiem, że po zu-

pełnie wyjątkowym tryumfie, jaki Chopin odniósł na tym koncercie, i jako pianista, i jako kompozytor, dalsze „lekcye", choćby u takiego mistrza, jak Kalkbrenner, naprawdę były zbyteczne. A że i Chopin już miał dosyć tej nauki, więc choć nie przestał bywać częstym i mile widzianym gościem w domu Kalkbrennerów, to jednak przestał tu przychodzić, jako uczeń, a przychodził jedynie, jako kolega, jako przyjaciel. W tej przyjaźni, na której dnie było wiele wdzięczności za okazaną i niekłamaną życzliwość, nie ostygł nigdy i jak mógł, dawał jej dowody. [1])

F. Hoesick.

(Ciąg dalszy nastąpi).

---

[1]) O serdecznym stosunku przyjaźni, która Chopina łączyła z Kalkbrennerem, najlepiej świadczą listy tego ostatniego do Chopina, ogłoszone w książce M. Karłowicza.

# Szkoły i wychowanie polskie na emigracyi ekonomicznej.

I.

## Oświata szkolna Polonii północno-amerykańskiej.

TREŚĆ. 1. Organizacye polityczne. — Rozbicie Polonii północno-amerykańskiej na dwa stronnictwa i liczne grupy. — Stwarza to niepomyślne warunki dla rozwoju oświaty. — Liczebny i ekonomiczny stan Polonii północno-amerykańskiej.

2. Niebezpieczeństwo wynarodowienia. — Wynaradawianie przez Kościół. — Obojętność Komitetów dyecezyalnych. — Stanowisko rządu wobec działań oświatowych.

3. Ofiary Polaków Ameryki północnej na cele oświaty narodowej. — Powody budowania własnych szkół. — Budowa kościoła i szkoły to pierwsza akcya zbiorowa nowej parafii.

4. Inicyatywa i kierownictwo akcyi szkolnej. — Proboszczowie. — Stowarzyszenia świeckie. — Działalność Związku Narodowego Polskiego. — Zgromadzenia zakonne. — Szkoły polskie północno-amerykańskie są w rękach duchowieństwa. — Pewna rezerwa w sprawach szkolnych sfer liberalnych.

5. Brak funduszów i brak nauczycieli ukwalifikowanych. — Warunki kształcenia sił nauczycielskich. — Główna część sił nauczycielskich to

Siostry zakonne. — Siostry Felicyanki. — Siostry Nazaretanki i ich wyższa szkoła żeńska. — Polskie Siostry szkolne św. Józefa i ich Akademia. — Statystyka sił nauczycielskich.

6. Publiczne szkoły amerykańskie a polskie szkoły parafialne. — Języki wykładowe w szkołach parafialnych polskich. — Program nauki i jej rozdział na 8 stopni (grade). — Program nauki języka polskiego i wykaz używanych do niej podręczników. — Rok szkolny. — Nauka dwurazowa.

7. Najstarsze szkoły parafialne polskie północno-amerykańskie. — Liczba szkół parafialnych polskich. — Ilość dzieci w szkołach. — Rezultaty nauki szkolnej nie całkiem pomyślne. — Wobec przymusu szkolnego mały procent analfabetów. — Prawo ochronne pracy dzieci. — Mały udział dzieci polskich w wyższem wykształceniu elementarnem. — Obraz wykształcenia szkolnego przeciętnego dziecka polskiego północno-amerykańskiego. — Smutne następstwa małego wykształcenia. — Przyczyny lekceważenia wykształcenia elementarnego przez Polaków. — Jasne punkty w obrazie.

8. Mały procent Polaków północno-amerykańskich szuka nauki w wyższych szkołach. — Mała liczba zakładów polskich stopnia wyższego. — Polskie seminaryum duchowne w Detroit. — Historya jego powstania. — Organizacya. — Rozwój. — Języki wykładowe. — Grono profesorskie. — Znaczenie zakładu. — Z życia założyciela ks. Dąbrowskiego.

9. Wyższa szkoła polska OO. Zmartwychwstańców w Chicago. — Kolegium św. Stanisława Kostki tychże Ojców w temże mieście. — Organizacya jego. — Program naukowy. — Kollegia amerykańskie a nasze szkoły średnie. — Języki wykładowe. — Środki naukowe. — Warunki przyjęcia. — Grono profesorów. — Prawo udzielania stopni. — Internat. — Opłaty. — Organizacye młodzieży w obrębie szkoły. — Stowarzyszenie byłych uczniów. — Statystyka uczniów. — Znaczenie zakładu i zasługi OO. Zmartwychwstańców.

10. Młodzież polska północno-amerykańska w uniwersytetach i wyższych szkołach technicznych. — Zasługi Związku narodowego polskiego.

11. Polacy w Kanadzie.

1. Fale emigracyi politycznej z r. 1831 popłynęły aż do Ameryki północnej.

W r. 1842 partya byłych żołnierzy powstania listopadowego założyła w Nowym Yorku „Stowarzyszenie Polaków w Ameryce“, które jednak wnet upadło.

W dziesięć lat później w r. 1852 zawiązała się druga organizacya p. n. „Towarzystwo Demokratyczne Wygnańców Polskich w Ameryce“ i dawała znaki życia do roku 1858.

Po upadku powstania styczniowego przybyły nowe zastępy wychodźców politycznych.

Emigracya dla chleba czyli ekonomiczna na małą skalę sięga początku drugiej połowy XIX. wieku. Około r. 1856 powstały pierwsze kolonie w stanie Texas. Założyli je emigranci z Górnego Śląska.

Emigracya rekrutowała się w ogromnej większości z ludu roboczego. Była to ludność uboga, która szukała polepszenia bytu materyalnego. Wielu wybierało się do Ameryki na pewien przeciąg czasu, aby wrócić do stron rodzinnych po zebraniu trochę grosza na zakupno kawałka gruntu lub na spłacenie długów. Około roku 1870 zaczęła emigracya polska do Ameryki północnej przybierać szersze rozmiary. Emigranci osiedlali się w coraz to większej liczbie po miastach, gdzie ich jest obecnie już bardzo wiele. W Chicaga jest obecnie około 250 tysięcy Polaków.

Pierwszem towarzystwem politycznem i narodowem w tej epoce była „Gmina polska“, założona w Chicago r. 1866. Pamiątkowym zabytkiem jej żywota pozostała do dziś jeszcze w Chicago istniejąca Gmina polska nr. 1.

Liczba wychodźców ekonomicznych rosła: tworzyły się coraz to nowe stowarzyszenia.

W r. 1870 zorganizowano w Nowym Yorku „Zjednoczenia Polaków w Ameryce“. Związek ten przestał istnieć już około r. 1874.

W tym samym roku dn. 22. lutego ukazał się w Washingtonie pierwszy numer „Orła polskiego“, pierwszego czasopisma w Ameryce.

„Orzeł“ upadł, a miejsce jego zajęła r. 1873 „Gazeta polska“ w Chicago, do roku 1881 przewodniczka i zwierciadło ruchu narodowego polskiego w Ameryce północnej.

W r. 1881 zastąpiła pod tym względem Gazetę „Zgoda“, organ Związku Narodowego Polskiego, ale Gazeta utrzymała się i nadal.

W opozycyi przeciw organizacyom narodowo-liberalnym zaczęły powstawać organizacye narodowo-katolickie, a z niemi nowe czasopisma jak n. p. „Gazeta katolicka“, organ OO. Zmartwychwstańców.

Także w opozycyi do liberalizmu zorganizowało się w roku 1873 w Detroit „Zjednoczenie Rzymsko-katolickie polskie“, postawiwszy sobie między innemi za cel budowę szkół wyższych, założenie seminaryum, wogóle działanie na polu wychowania. Stowarzyszenie to nie rozwijało się z powodu nieporozumień pomiędzy klerem świeckim a Zmartwychwstańcami.

A znów w opozycyi do „Zjednoczenia“ wyłonił się w roku 1880 „Związek Narodowy Polski“, który dotąd istnieje, skupiając w sobie znaczną liczbę towarzystw. W r. 1905 liczył Związek około 43.000 członków.

Przeciw Związkowi od samego jego początku zwróciła się władza duchowna amerykańska jako instytucyi, jak ją nazwała, masońskiej, stanęli także do walki przeciw niemu OO. Zmartwychwstańcy.

Do zwalczania Związkowych wystąpiło „Centralne Zjednoczenie Polaków w Ameryce“, do którego mogli należeć tylko Polacy-katolicy. Centralne Zjednoczenie z siedzibą w Chicago było poniekąd wskrzeszeniem a raczej dalszym ciągiem dawnego Zjednoczenia.

Polonia Ameryki północnej rozdarła się zatem na dwa wielkie stronnictwa, na narodowo-liberalne i na narodowo-katolickie. Z stowarzyszeń narodowo-katolickich zasługują jeszcze na wzmiankę „Unia Polska“ i „Liga polska“.

W obrębie obu wielkich partyi, na które się Polonia amerykańska podzieliła, istnieją mniejsze lub większe grupy o mniej lub więcej skrajnych lub umiarkowanych odcieniach i zabarwieniach. I partye i grupy okazują sobie wzajemną nieufność i starają się pewną wyniosłością i zamknięciem w sobie oddzielić się od niemiłych sobie prądów i osobników. Ta wzajemna nieufność, to wewnętrzne rozdarcie i wzajemne zwalczanie się stwarza dla dzieła oświaty szkolnej niepomyślne warunki, bo chociaż każda partya, każda grupa na własną rękę stara się o szkoły i naukę szkolną, to jednak z powodu rozdrobnienia sił i funduszów a nie-

kiedy i wzajemnego zwalczania się, rezultaty działania muszą być małe.

A jednak Polonia amerykańska mogłaby przy większem skupieniu sił i większej jedności zdziałać na polu oświaty więcej nierównie, aniżeli dotąd zrobiła, bo jest i liczebnie dość silną i ekonomicznie, na ogół biorąc, dość zasobną i w przeważnej części skupioną w większe ogniska gminne i parafialne.

Ks. Kruszka obliczył w r. 1905 Polaków, zamieszkałych w samych Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej na 1,903.000.[1]) Byli rozrzuceni w 810 osadach polskich i skupieni około 517 kościołów polskich.[2])

Wartość ziemi, będącej w posiadaniu Polaków Stanów Zjednoczonych, wynosiła według rachunku wspomnianego autora w rzeczonym roku jeden miliard i pięćdziesiąt milionów koron, a wartość domów i placów trzy miliardy koron. Do tego trzeba dodać polskie zasoby w gotówce, w przedsiębiorstwach, sprzętach itd.

2. Różnice partyjne, ubezwładniające do pewnego stopnia szerszą akcyę szkolną Polonii północno-amerykańskiej, mają jednak silny wspólny hamulec w niebezpieczeństwach, grożących z różnych stron narodowości polskiej. Niebezpieczeństwa te widzą wszystkie partye i grupy i wobec nich niejednokrotnie jednoczą się do wspólnej akcyi.

Bo też szkoła narodowa polska jak wszędzie na obczyźnie, tak i tam w Stanach Zjednoczonych ma bardzo doniosłe znaczenie. Szkoła jest, obok kościoła z narodową służbą Bożą, główną ostoją i twierdzą przeciw wynarodowieniu.

A niebezpieczeństwo wynarodowienia jest w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej bardzo groźne wobec ogromnej przewagi ekonomicznej, kulturalnej i liczebnej żywiołu amerykańsko-angielskiego i wobec wybitnej jego ruchliwości i zachłanności.

Niebezpieczeństwo wynarodowienia zagraża z rozmaitych stron, a nawet i z tej, z której go się najmniej można było obawiać.

---

[1]) Cyfra ta jest dziś bezwarunkowo za niska i to znacznie. W samym roku 1907 przybyło do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej ze wszystkich trzech zaborów 138.033 Polaków.

[2]) Obecnie kościołów parafialnych polskich jest przeszło 600.

Na wiecu polskim w Chicago, odbytym dn. 1. stycznia roku 1901, stwierdzono fakt, że od pewnego czasu daje się zauważyć wśród wyższej hierarchii Kościoła rzymsko-katolickiego w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej dążenie do wprowadzenia kazań angielskich i nauki katechizmu w języku angielskim do kościoła i szkół, zbudowanych i utrzymywanych kosztem przedstawicieli różnych nieangielskich narodowości. Wykazawszy, iż już kilku biskupów wydało w tym kierunku listy pasterskie, wyraził wiec obawę, że mogą to samo uczynić i inni biskupi, i że przez to ludność polska narażonaby była na wynarodowienie. Wiecujący zajęli wobec tej tendencyi biskupów odporne stanowisko. Wyraziwszy należną cześć dla Stolicy apostolskiej i dla przedstawicieli jej w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, zwrócił się wiec do J. E. Delegata apostolskiego w Washingtonie i do propagandy Wiary świętej w Rzymie z prośbą i naleganiem, by, jak dotąd, tak i nadal w kościołach polskich kazania, śpiewy, modlitwy i obrzędy, a w szkołach parafialnych nauka katechizmu odbywały się jedynie w języku polskim i przez księży Polaków. Wiec wezwał jednocześnie wszystkie parafie polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, aby wystąpiły w tym samym duchu i przesłały odnośne rezolucye do właściwych władz kościelnych.

Uchwały wiecu chicagowskiego zaakceptowało „Zjednoczenie rzymsko-katolickie polskie“. Silniejszej opozycyi przeciw uchwałom tego wiecu nie było.

Wiec chicagowski uświadomił w społeczeństwie polskiem Ameryki północnej potrzebę walki z nowym a poważnym przeciwnikiem, z duchem amerykanizmu, wdzierającym się w szeregi polskie przez Kościół.

Tą samą sprawą zajął się Kongres polsko-katolicki, zwołany w r. 1901 do Buffalo, oraz „Federacya Polaków katolików“, zawiązana nieco później.

Akcya obronna toczy się do tej chwili i nie ustanie widocznie, dopóki nie ustąpi niebezpieczeństwo.

W takich warunkach trudno się spodziewać życzliwego poparcia spraw szkół polskich w t. z. Komitetach szkolnych dyecezyalnych, złożonych z reguły z żywiołów niepolskich. A ingerencya tych Komitetów w sprawach szkolnych jest dalekonośna: One są po miejscowych proboszczach drugą wyższą władzą szkolną szkół parafialnych, one je wizytują, przeprowadzają w nich egzamina, załatwiają sprawy, dotyczące hygieny, dzierżą kontrolę nad kwalifikacyą pedagogiczną i fachową nauczycieli itd.

Ze strony rządu nie doznaje Polonia amerykańska, jak wogóle żadna narodowość żadnych zgoła przeszkód. Państwo nie pyta, kto i jak uczy, byle tylko uczył; wszelkie działania oświatowe są tam cenione bez względu na to, zkąd biorą początek. W Ameryce północnej panuje rzetelna wolność nauczania.

3. Społeczeństwo polskie Ameryki północnej a raczej jego więcej pod względem narodowym uświadomiona część, aczkolwiek rozbita na różne partye i grupy, oceniając należycie znaczenie własnej polskiej szkoły, nie szczędzi na nią ofiar i zabiegów.

Z obowiązku płacą Polacy jak wszyscy inni obywatele Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej podatek szkolny powszechny na utrzymanie publicznych szkół rządowych, z których mogą dowolnie korzystać. Utrzymywanie więc własnych szkół jest ofiarą i wysiłkiem, składanym na ołtarzu własnej wiary i własnej narodowości. Dwu tych haseł używają sfery kierujące, aby rozbudzić interes szkolny w szerokich masach.

Z dwu zatem powodów odciąga się dzieci polskie od amerykańskich szkół publicznych. Szkoły publiczne są bezwyznaniowe, niema w nich wykładu religii. Szkoły parafialne polskie mają charakter czysto katolicki i zaszczepiają zasady etyki katolickiej. Dzieci polskie, uczęszczające czy to z tych, czy z owych powodów do szkół rządowych, zarażają się bezwyznaniowością.

Drugim powodem jest wychowanie w duchu narodowym polskim. Szkoły parafialne polskie uczą języka polskiego i starają się wpoić w umysły młodociane dzieci ideały narodowe polskie, dążą do tego, aby ta młodzież czuła się polską przez całe swoje życie, by zawsze przy każdej nastręczającej się sposobności publicznie i śmiało przyznawała się przed społeczeństwem amerykańskiem do swego polskiego pochodzenia. Takiego wychowania dziecko polskie w szkołach publicznych niema i mieć nie może.

Zakładając z pobudek religijnych i narodowych własne szkoły, ponosi Polonia północno-amerykańska niemałe ofiary.

Ks. Wincenty Barzyński szacował w r. 1887 wartość samych budynków szkolnych na 500—600 tysięcy dolarów. A z początkiem wieku XX. wszystkie szkoły polskie wraz z domami Siostr nauczycielek przedstawiały już wartość około sześciu milionów dolarów.

W r. 1887 według obliczenia ks. Barzyńskiego płacili Polacy północno-amerykańscy pensyi nauczycielskich około 70.700 do-

larów. W r. 1901 wydali na pensye w szkołach parafialnych polskich dla 200 nauczycieli świeckich 140.000 dolarów a na utrzymanie 804 sióstr nauczycielek 160.000 dolarów czyli razem 300.000 dolarów, co czyni około 1½ miliona koron. Szkoły parafialne nie mają osobnych dochodów, utrzymują się tylko z opłat szkolnych, składanych przez rodziców z reguły bardzo niskich (70 halerzy do 1 korony miesięcznie). Niektóre parafie są zamożne; większość jednak parafii jest mała lub niezagospodarowana a czasem i dobrze zadłużona.

Gdy się nowa parafia zorganizuje, to pierwszą jej wspólną troską jest, aby razem z kościołem a często i przedtem, zanim się budowa kościoła zacznie, wznieść szkołę, której budynek dzieli się na dwie części: na górną, gdzie się odprawia nabożeństwo, i na dolną, gdzie się uczą dzieci. Gdy się parafia zwiększy i gdy wybuduje osobny dom Boży, dawny budynek pozostaje na wyłączny użytek szkoły. Zamożne parafie budują wspaniałe, niekiedy bardzo wspaniałe i kosztowne gmachy szkolne.

Parafia polska św. Stanisława Kostki w Chicago Ill. z polskich największa, zbudowała sobie największą polską szkołę, do której uczęszczało około 4.000 dziatwy polskiej. Gdy szkoła ta w r. 1907 zgorzała, odbudowano ją na nowo kosztem 250 tysięcy dolarów. Szkoła ta mieści w sobie przeszło 50 obszernych klas.

4. Akcyą szkolną kierują w Polonii północno-amerykańskiej same parafie a względnie proboszczowie parafialni oraz rozmaite stowarzyszenia świeckie i zgromadzenia zakonne, których członkowie pełnią służbę duszpasterską po parafiach.

Proboszcz, niekiedy jedyny przedstawiciel inteligencyi w parafii, jest dla szkoły nieomal wszystkiem.

Pomyślny rozwój szkoły, pominąwszy kwestyę finansową, zależy w najgłówniejszej części od proboszcza. Proboszcz z tytułu stanowiska swego jest dla szkoły swej parafii: jej rzeczywistym dyrektorem i inspektorem i radą szkolną i niejednokrotnie w parafiach bardzo ubogich i nauczycielem, zgoła nieomal wszystkiem. Od proboszcza zależy cały system nauki w szkole, cały jej plan i siły nauczycielskie. To też, gdzie w parafii znajdzie się proboszcz gorliwy o oświatę szkolną, tam budzi się wśród parafian i większa ofiarność na cele szkoły i większe zrozumienie doniosłości nauki szkolnej, tam kwitnie ta nauka, jednem słowem szkoła prosperuje i spełnia należycie zadanie swoje.

Drugim ważnym czynnikiem siania oświaty szkolnej są rozmaite stowarzyszenia bądź polityczno-świeckie bądź zakonne.

Akcyę szkolną w wielkim stylu prowadzi „Federacya Polaków-katolików“. Referat Wydziału wychowawczego Federacyi, opracowany z jej polecenia na III. jej kongres jest wymownym dowodem jej troski o sprawy szkolne. [1])

Poza wielkimi związkami istnieją po parafiach rozmaite stowarzyszenia lokalne męskie i żeńskie, których wspólnym celem jest wierność dla wiary ojców, popieranie katolickich szkół. polskiego języka i bronienia się przed wynarodowieniem. Jak w kraju macierzystym tak i tu na emigracyi. identyfikuje ludność pojęcia „katolicki“ i „polski“. Wychodzi to na korzyść i Kościołowi i narodowości. W niektórych parafiach jest takich towarzystw bardzo wiele. W największej polskiej parafii św. Stanisława Kostki w Chicago jest ich przeszło 60.

Bardzo żywo zajmuje się oświatą szkolną „Związek Narodowy Polski“. Na IX. Sejmie swoim uchwalił zbieranie składek na seminaryum polskie w Detroit z tem zastrzeżeniem. że seminaryum to będzie przyjmowało także ubogich kandydatów.

Sejm XI. Związku z r. 1895 polecił, aby pod kontrolą Rządu centralnego związkowego powstał osobny Wydział oświaty. złożony z członków Związku. Wydziałowi temu polecono zorganizowanie Uniwersytetu ludowego na wzór takichże uniwersytetów amerykańskich, dalej zakładanie nowych i powiększanie dawnych czytelni ludowych. urządzanie popularnych odczytów. sprowadzanie pożytecznych książek. przedsiębranie tanich ludowych wydawnictw i wogóle gorliwe zabieganie około szerzenia oświaty wśród Polaków w Ameryce.

Wydział zorganizował się 3. paźdz. 1905 roku. W pierwszych dwu latach rozwinął energiczną działalność.

Już w r. 1895 zorganizowano Wszechnicę ludową, sprowadziwszy z Europy profesorów Kurcyusza i Siemiradzkiego. W kwietniu r. 1896 rozpoczęły się wykłady. Prócz wymienionych wykładali dr. Kodis, doktorka Kodisowa i Michnikowski. Wykłady nie miały powodzenia. Koszta były wielkie, a rezultat stosunkowo mały. Wszechnica ludowa upadła.

Równocześnie puścił Wydział oświaty Związku za przykładem amerykańskich towarzystw oświatowych w obieg po koloniach polskich biblioteczki wędrowne w liczbie 10 po 40 tomów oraz

[1]) Omawiam go szczegółowo w studyum p. t. „Literatura pedagogiczna polska na obczyźnie w dobie porozbiorowej“, drukującem się w „Szkole“, Lwów, 1909.

organizował tu i ówdzie odczyty. W następnych latach działał tylko za pomocą bibliotek wędrownych.

W dalszym toku akcyi nabrano przekonania, że najpotrzebniejszą sprawą dla dobra ogólnego jest rozdawnictwo stypendyów dla synów Związkowców, pragnących się kształcić. Zajął się tą sprawą sejm XIV. Związku z r. 1901. Teologów wykluczono od uczestnictwa w stypendyach. Od czasu zawiązania Wydziału oświatowego Związku, Wydział ten w ciągu pierwszych sześciu lat udzielił stypendyów 21 uczniom w kwocie 1.753 dolarów, a mianowicie 8 uczniom seminaryum polskiego w klasach gimnazyalnych, 2 uczniom tegoż seminaryum na kursie filozofii i 11 uczniom w rozmaitych szkołach publicznych. W r. 1908 zamienił Związek stypendya na pożyczki bezprocentowe.

Z zgromadzeń zakonnych najwięcej działają na polu oświaty szkolnej OO. Zmartwychwstańcy.

Na ogół biorąc, cała akcya szkolna w Polonii północno-amerykańskiej znajduje się w rękach duchownych. Wszystkie szkoły polsko-amerykańskie, oparte o kościoły parafialne, lub zgromadzenia zakonne mają kierownictwo duchowne i ogromną większość sił, dostarczonych im przez instytucye kościelne.

Ten stan posiadania nie da się prędko i łatwo zmienić. Trudno sobie wyobrazić instytucyę świecką dość bogatą, by mogła koloniom polskim dostarczyć potrzebnej im liczby szkół polsko-świeckich, a gdyby nawet znalazły się fundusze, to nie tak prędko zyskanoby dostateczną liczbę sił nauczycielskich świeckich, jaką Kościół rozporządza, mając do dyspozycyi jeżeli nie bezinteresowną, to w każdym razie ofiarną pracę zakonnic. Zresztą zeświecczenie szkół nie mogłoby się odbyć bez prawdziwej burzy, zamętu i walk w łonie społeczeństwa polskiego.

Ten stan rzeczy, ta silna pozycya Kościoła w dziedzinie szkolnictwa amerykańsko-polskiego, pozycya trudna do zdobycia, nie podoba się sferom polskim liberalnie usposobionym, które też, nie mając nadziei powodzenia w walce, gdyby ją podjęły, usuwają się od wspólnej pracy w dziedzinie szkolnictwa zwłaszcza początkowego, niewątpliwie z szkodą dla tej ważnej sprawy.

Stronnictwa postępowe objawiają więcej ochoty do podjęcia akcyi szkolnej w dziedzinie szkolnictwa średniego. Związek narodowy wciągnął ten program w zakres swego działania, ale go jeszcze nie przyoblókł w czyn. Sprawa zakładania szkół średnich należy w szkolnictwie amerykańsko-polskiem do szeregu najpilniejszych. Na dwumilionową ludność ma Polonia północno-ame-

rykańska dotąd zaledwie dwie szkoły średnie męskie, w których obecnie jest około 500 uczniów.

5. Społeczeństwo polskie północno-amerykańskie uświadomiło sobie dobrze już potrzebę tej akcyi, bo z nią wiąże się ściśle produkcya sił nauczycielskich i podniesienie poziomu ich wykształcenia. Niestety brak funduszów stoi na przeszkodzie tej tak ważnej akcyi. Niema dostatecznych funduszów ani na kształcenie sił nauczycielskich, ani na opłacanie fachowo wykształconych. I to jest jedna z największych bolączek szkolnictwa amerykańsko-polskiego, i ta bolączka jest też jednym z powodów, dlaczego szkoły amerykańsko-polskie, na ogół biorąc, stoją pod względem naukowym niżej od publicznych szkół amerykańskich, a nawet i od niektórych szkół prywatnych kolonistów amerykańskich innych narodowości.

Wynagrodzenie sił nauczycielskich w szkołach polskich nie jest unormowane, jest całkiem zależne od miejscowych funduszów. Na ogół biorąc, jest ono nienęcące i może wystarczyć tylko osobom mało od życia wymagającym, nieobarczonym rodziną. Przeciętna płaca Sióstr nauczycielek wynosi na miesiąc od 25 do 30 dolarów, a niejednokrotnie i tego nie otrzymują, kontentując się płacą 18 nawet dolarów miesięcznie, ucząc za to nieraz po 100 dzieci. W tych warunkach trzeba więc brać siły, jakie są i chcą uczyć. O wykwalifikowanych nauczycielach mogą myśleć tylko parafie zamożne, będące w możności przyznać im odpowiednią płacę.

Pewna liczba nauczycieli nadpłynęła z kraju macierzystego, z Galicyi i Wielkopolski, ogromna większość rekrutuje się z sił miejscowych, niekiedy bardzo dzielnych, niekiedy bez należytego wykształcenia.

Zbiorowo biorąc, stan nauczycielski polski w Ameryce wegetuje bardzo słabo: seminaryów nauczycielskich polskich należycie zorganizowanych niema, nauczyciele, sprowadzani z kraju macierzystego, gdzie ich zresztą także brak, byliby za drodzy, a ci, którzy sami przybywają, wnet porzucają swój zawód i szukają i znajdują popłatniejsze zajęcia. Trzeba więc szukać sił nauczycielskich zastępczych. A zapotrzebowanie sił nauczycielskich stało się bardzo wielkiem z chwilą, gdy po obudzeniu się nagłem ruchu narodowego polskiego w Ameryce zaczęto równocześnie zakładać po parafiach polskich liczne szkoły elementarne polskie.

Zakony żeńskie, zajmujące się nauczaniem, aby odpowiedzieć od razu bardzo silnemu i nie cierpiącemu zwłoki zapotrzebowaniu sił nauczycielskich, zmuszone były przyjmować wszystkie kandydatki, które tylko jakie takie miały powołanie, i odsyłać je na posterunki po dorywczem przygotowaniu. Te dorywczo przygotowane siły uczą po szkołach i dziś jeszcze. Obok nauczycielek zakonnych powierzano nauczanie organistom, z których nie wszyscy mieli odpowiednie kwalifikacye. Jak dawniej tak i obecnie uczą w ogromnej większości szkół nauczycielki zakonne. Te, jako nauczycielki, były niejednokrotnie srodze krytykowane. Zarzucano im brak wykształcenia. Zarzut ten, o ile dotyczył ogółu Sióstr uczących, był i jest niesłuszny, a w każdym razie niesprawiedliwy.

Jeżeli niektórym brakowało lub brakuje dostatecznego ukwalifikowania, to trzeba to przypisać brakowi środków i czasu, potrzebnych do należytego przygotowania. Szkoły polskie mnożyły się prędko, a dostatecznych sił nauczycielskich nie było i niema ich dotąd. Niejednokrotnie trzeba było latami czekać, aż zdołano wyprosić gdzieś w klasztorze nauczycielkę zakonnicę. Prawda, że nie wszystkie siły są dobre, ale gdyby ich nie było, to ktoby uczył dzieci polskie po polsku i rzeczy polskich. Tylko dzięki żelaznej i wytrwałej pracy zakonów żeńskich liczy Polonia Stanów Zjednoczonych setki nauczycielek Polek.

Zresztą materyał, z którego się siostry nauczycielki urabiają, jest bardzo surowy. Kandydatki pochodzą głównie z sfer włościańskich, z których emigracya składa się przeważnie. Trzebaby więc długiej pracy, aby z nich zrobić dobre nauczycielki.

Najstarszemi zakonnemi nauczycielkami są Siostry Boskiej Opatrzności, które zaczęły uczyć w szkołach polskich w Texas w r. 1872.

W dwa lata potem utworzył Zmartwychwstaniec ks. Feliks Zwiardowski odrębne polskie zgromadzenie Sióstr Niepokalanego Poczęcia, zwanych też Imakulatkami albo Aniołkami, zgromadzenie dziś już nieistniejące.

Dziś na ich miejscu prowadzą szkoły polskie w Texas Inkarnatki czyli Siostry Słowa Wcielonego. W r. 1901 było tych Sióstr Polek 17, a uczyły w sześciu texaskich szkołach około 1.180 dzieci.

W rzędzie najstarszych nauczycielek w szkołach polskich w Ameryce stanęły także Siostry Notredamki. Pierwszą szkołę objęły w Chicago w r. 1873. Na początku r. 1901 uczyły w 17 szkołach polskich 11.313 dzieci.

Od r. 1874 rozpoczęło skuteczną działalność pedagogiczną czysto polskie zgromadzenie Sióstr Felicyanek, które dziś prowadzi największą ilość szkół polskich. W r. 1901 uczyło 261 Felicyanek w 39 szkołach 17.822 dzieci polskich.

Siostry Felicyanki oddają się zawodowi pedagogicznemu z całem zamiłowaniem i prowadzą szkoły w sposób wzorowy. Pułkownik Zygmunt Miłkowski zwiedził w r. 1900 jedną z ich szkół w Detroit i nakreślił zajmujący jej obraz.

Budynek szkolny zdala uderza mile oko, jest duży i opasany murem.

Wewnątrz na schodach i korytarzach wszędzie zgoła panuje czystość wzorowa. Ściany jaśnieją białością niepokalaną. Na podłodze drewnianej, żółtawej barwy, wyszorowanej dobrze piaskiem, nie znajdziesz najmniejszej plamki. Korytarze są szerokie, jasne, bez cienia woni podejrzanej, chociaż w gmachu zgromadza się wielka ilość istot ludzkich. Dobrze urządzona wentylacya zrobiła tu swoje.

I w klasach zastano wzorowy porządek i czystość zarówno na przedmiotach martwych, jak istotach żywych. „Dziewczynki małe, — powiada Miłkowski — równie jak panienki w wieku podlotków, umyte, uczesane, ochędożnie odziane, a przytem zdrowo i czerstwo wyglądające, widokiem swoim prawdziwą sprawiały przyjemność“.

Nauka odbywała się w polskim języku. Miłkowski z rozkoszą przysłuchiwał się tam na ziemi angielsko-amerykańskiej szczebiotaniu dziewcząt i dziewczątek, odpowiadających na stawiane im pytania, deklamujących wierszyki, śpiewających pieśni i piosenki narodowe polskie.

Ubranie ścian świadczyło, że w szkole uprawia się nauka poglądowa.

W jednej z sal oglądał Miłkowski mapę Polski przedrozbiorowej, w innej tablice chronologiczne historyi literatury polskiej. Pamiętając o praktycznym kierunku edukacyi, uczą Siostry Felicyanki rozmaitych robót ręcznych, n. p. robienia pończoch na maszynie.

Nie zapominają też i o wychowaniu fizycznem. W ogrodzie obszernym, przylegającym do klasztoru, pełnym drzew owocowych, wydzielono pewną obszerną przestrzeń do zabaw, gier i gonitwy w czasie rekreacyjnym dla dzieci. „Radował mnie — kończy Miłkowski sprawozdanie swoje — ich widok, widok matek przyszłych,

co dzieciom swoim będą w Ameryce po polsku kołysanki przyśpiewywały i po polsku do nich przemawiały i na Polaków ich wychowywały":

Po Felicyankach co do liczby idą Siostry Franciszkanki. W r. 1901 liczył ten zakon 176 nauczycielek, uczących w 39 szkołach polskich 14.030 dzieci.

Od r. 1885 działa na niwie pedagogicznej polskiej drugie czysto polskie zgromadzenie Sióstr Nazaretanek, założone w roku 1874. Jak Felicyanki tak i one oddają Polonii północno-amerykańskiej znakomite usługi. W r. 1901 zakon ten miał w 16 szkołach polskich 112 nauczycielek, uczących 9.178 dzieci. Profesor Dunikowski, zwiedzając Amerykę, odzywa się o Siostrach Nazaretankach z pełnem uznaniem, podnosi ich wykształcenie, patryotyzm, poświęcenie i skuteczną pracę. Zajmują się nauczaniem w szkołach parafialnych, a prócz tego założyły w r. 1892 w Chicago wyższą szkołę żeńską, pierwszą tego typu a tak niesłychanie dla Polonii północno-amerykańskiej potrzebną.

Nauczaniem zajmują się także, lecz na mniejszą skalę Benedyktynki, Józefinki, Zmartwychwstanki, Dominikanki, Urszulanki, Szarytki i Siostry św. Krzyża.

W r. 1901 powstało nowe zgromadzenie zakonne: Polskie Siostry szkolne św. Józefa z domem macierzystym w Stevens Point, Wis. Z początkiem r. 1903 Siostry te uczyły w 8 szkołach 4.280 dzieci.

Pomiędzy siłami nauczycielskiemi męskiemi szkół parafialnych mały procent należy do Zgromadzenia św. Krzyża.

W r. 1887 według obliczenia ks. Barzyńskiego było w Ameryce 257 nauczycieli i nauczycielek. Z nauczycieli świeckich tylko mała liczba miała fachowe wykształcenie: ogromna większość były to tak zwane „bożydudy", to jest tacy, co zaledwie czytać, pisać i na organach dudlić potrafili.

Z początkiem roku 1901 w wszystkich szkołach polskich Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej było czynnych około 1.000 sił nauczycielskich, a mianowicie 200 nauczycieli świeckich i 804 Sióstr zakonnych. Nauczyciele świeccy mieli nie najgorsze wykształcenie seminaryjne; ucząc w szkołach, pełnili zarazem w znacznej części obowiązki organistów. Wykształcenie Sióstr nauczycielek było nierówne, w części wystarczające, w części niedostateczne.

6. Szkolnictwo polskie w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej jest dopiero w pierwszym stadyum swego rozwoju. Po-

lonia amerykańska musiała rozpocząć pracę szkolną *ab ovo*, musiała własnym wysiłkiem stworzyć wszystko, kraj macierzysty nie pospieszył jej z pomocą. Gdy się to uwzględni, to trzeba przyznać, że Polacy północno-amerykańscy w krótkim stosunkowo czasie w dziedzinie szkolnictwa dokonali mimo trudnych warunków rzeczy poważnych. W rozwoju szkolnictwa amerykańsko-polskiego widzimy powolny wprawdzie, ale ciągły postęp i mamy uzasadnioną nadzieję, że z biegiem czasu Polonia amerykańska nie tylko postawi nauczycielstwo na wysokości swego zadania, lecz uzupełni także dotkliwe obecnie jeszcze braki w organizacyi szkolnictwa.

Antoni Karbowiak.

(Ciąg dalszy nastąpi).

# JAWORÓW

## monografia historyczna, etnograficzna i statystyczna.

---

### Opis historyczny.

O początkach powstania Jaworowa nie podają nam źródła dziejowe żadnych wskazówek, giną one w pomroce zamierzchłej przeszłości, jak o setkach innych osad u nas i trudno podać w tym względzie coś stanowczego.

Utrzymuje się wprawdzie tradycya, że dzisiejsze miasteczko wzięło swą nazwę z lasu jaworowego, który miał się wznosić przed wiekami w miejscu, gdzie obecnie rozlega się obszerny staw, lecz na podobnych podaniach trudno polegać, zwłaszcza, że wszędzie występują one w sposób stereotypowy tam, gdzie brak istotnych podstaw historycznych do stwierdzenia prawdziwego źródła nazw pewnych miejscowości; wreszcie stawianie podobnych twierdzeń byłoby dorabianiem historyi do nazwiska. Wprawdzie wyprowadzenie nazwy Jaworowa od owego lasku zgadzałoby się ze zwyczajem przyjętym w Polsce, nazywania osad lub miejscowości według pewnych właściwości topograficznych, ale również i to najczęściej otrzymywały osady swoją nazwę albo od głowy rodu (patronimiczną), albo od osób, do których należały. W tym wypadku zdaje się prawdopodobniejszem, że pierwotna osada przyjęła nazwę od swego właściciela, jakiegoś „Jawora", o których istnieniu na Rusi wspominają kroniki XIII. i XIV. wieku.

Że Jaworów co najmniej już w początkach XV. wieku stanowił zorganizowaną osadę, dowodzi dyplom Andrzeja z Szamotuł, kasztelana poznańskiego i tenutaryusza jaworowskiego, z dnia 1-go maja 1408 r.,[1]) którym nadał on cechowi szewskiemu w Jaworowie prawo na utrzymywanie w mieście 10 jatek szewskich.

Jest jeszcze wcześniejszy dokument, stwierdzający istnienie osady jaworowskiej w drugiej połowie XIV. wieku, a jest nim akt donacyi z dnia 24. czerwca r. 1376[2]) Władysława, księcia opolskiego, pana na Wieluniu i Rusi, wystawiony w Przemyślu, na rzecz braci Reinholda i Nytka, którym to aktem nadał im Władysław Opolczyk prawem lennem wsie: „Nowe Siedlce i Porudno, graniczące ze strony południowo-wschodniej z Jaworowem.

Wracając do przywileju Andrzeja z Szamotuł, nasuwa się pytanie, z jakiego tytułu magnat ten wielkopolski przyszedł w posiadanie kawałka ziemi na Rusi? Pewne światło na tą sprawę rzuca okoliczność, że po śmierci Andrzeja z Szamotuł, Jaworów nie przechodzi drogą spadku na jego następców, lecz otrzymał „tenutam javoroviensem“ Wincenty z Szamotuł, z mocy nadania jej przez króla Władysława w r. 1433.

Należał zatem Jaworów do tak zwanych królewszczyzn i Andrzej z Szamotuł musiał go posiadać także tytułem dożywotniego nadania.

Po Wincentym z Szamotuł przeszedł Jaworów w posiadanie księcia Wacława na Opolu i Raciborzu w r. 1450. Książę ten był ożeniony z córką Wincentego z Szamotuł.[3])

Do czasu objęcia Jaworowa przez księcia Wacława nie posiadało miasto żadnego kościoła, dopiero ten ufundował w r. 1454[4]) parafię jaworowską i przywilejem z dnia 20. lutego tegoż roku uposażył ją:

*a)* dziesięciną z młynów w Jaworowie na rzece Szkło;

*b)* oddał probostwu na użytek po wieczne czasy sadzawkę na potoku Jaxa, między Załużem i Jażowem;

*c)* tamże dwa łany pola, łąkę i dwa ogrody;

*d)* dziesięcinę z płodów w Zbądzinie i

*e)* opłatę po jednym groszu co kwartał od każdego mieszkańca przez dziesięć lat.

---

1) Akta grodz. lwow. T. 378, str. 2310—2319.
2) Rękps. Bibl. Ossol. Nr. 1851 i 1858.
3) Szaraniewicz: Rys istorycz. Rusi. T. II.
4) Akta grodz. lwow. T. 5, str. 175.

Tym samym przywilejem nadał książę Wacław probostwo w Jaworowie księdzu Mikołajowi, kapelanowi z Gródka.

Nie długo pozostawał Jaworów w posiadaniu księcia Wacława, bo już w roku 1456. aktem z dnia 22. października[1]) oddał go król Kazimierz Jagiellończyk w zastaw z prawem wyderkafu (odkupna), łącznie z przyległemi wsiami: Olszanicą, Załużem, Jażowem i Czołhyniami, Piotrowi z Szamotuł za kwotę 1.300 grzywien polskich i 1.650 grzywien węgierskich. Było to w przededniu wojennej wyprawy do Prus, kiedy brakło pieniędzy w skarbcu państwowym i za zgodą senatu wiele innych jeszcze królewszczyzn tą samą drogą poszło w zastaw.

Piotr z Szamotuł dodaje probostwu jaworowskiemu do praw już nabytych z przywileju księcia Wacława, dwa łany pola ze starem stawiskiem.[2])

Z tych czasów nie znachodzimy w aktach żadnych doniośléjszych zdarzeń, odnoszących się do Jaworowa, z wyjątkiem kilkunastu wyroków sądowych, wydanych w sporach między mieszczanami, kilku skarg tamtejszych proboszczów na parafian i t. p.

Znamienniejszym z tych sporów był jeden między zarządcą Jaworowa, szlachetnie urodzonym Hynekiem, a szlachcicem Boratyńskim, który to spór oparł się o tron i został rozstrzygnięty wyrokiem króla Aleksandra z dnia 11. kwietnia 1502. skazującym Hyneka na karę 50 grzywien za niepokojenie Jana Boratyńskiego w używaniu gruntu, posiadanego w Jaworowie.

Od Szamotulskich przeszło prawo używania Jaworowa z wymienionemi powyżej wsiami, jako zastaw nieodkupiony, na ich spadkobierców, z których pierwszym był Łukasz Górka, kasztelan poznański.

Działo się to w początkach XVI. wieku, kiedy najezdnicze hordy Tatarów, Turków i Wołochów zapuszczały swe zagony na Ruś, niszcząc ogniem i mieczem czego nie mogli zrabować. — Od granic wschodnich po Przemyśl a nawet aż po pod Sanok zapuszczały się dzikie hordy, porywały tysiące ludności w jasyr i zostawiały po sobie tylko zgliszcza i zniszczone stepy.

I Jaworowa nie ominęły klęski, a musiały być bardzo dotkliwe, kiedy ówczesny tenutaryusz Jaworowa, pierwszy następca po Szamotulskich, Łukasz Górka, przywilejem z dnia 24. paździer-

[1]) Akta grodz. lwow. T. 385. str. 183—185.

[2]) Th. Pirawski: Relationes etc. (wydał K. Heck), str. 132.

[3]) Akta grodz. lwow. T. 361, str. 574.

nika 1512.[3]) znaczne ulgi poczynił mieszkańcom miasta w opłacie obowiązujących ich danin, a nadto nowemi obdarzył ich przywilejami. I o kościele pamiętał Łukasz Górka i na lepsze uposażenie parafii nadał jaworowskim proboszczom po wieczne czasy prawo pędzenia wódki i wolnego wyszynku.

Prawo to wykonywali proboszczowie jaworowscy aż do zaboru Galicyi przez Austryę, która dekretem gubernium lwowskiego skompensowała to prawo na dochód roczny w kwocie 480 złr., z czego połowę winno opłacać miasto, a drugą połowę dominium jaworowskie.[1])

Następcy Łukasza Górki trzymali Jaworów w zastawie po rok 1563.

W tymże roku uchwalił Sejm egzekucyę wszystkich dóbr królewskich, nadanych czy to lennem, czy też na mocy zastawu i oddał odebrane w ten sposób ziemie jako królewszczyzny pod osobny zarząd, jako wyłączną własność państwa.

Z chwilą przejścia dóbr jaworowskich w posiadanie państwa, podniósł król Zygmunt August miasto Jaworów do godności starostwa i w uznaniu usług oddanych Rzeczypospolitej, nadał to starostwo Andrzejowi hrabiemu (comes) Górce.

Równocześnie z tem nadaniem określono ściśle granice nowego starostwa.

Starostwo jaworowskie składało się z dwóch nie graniczących z sobą obszarów.

Główny, jaworowski obejmował północno-zachodni narożnik powiatu lwowskiego, ogarniając tam na dorzeczu wschodnich dopływów Sanu okręg krakowiecki i lubaczowski, mierzący 4½ mili kwadrat. Na zachodzie i północy opierał się o powiat bełzki, na południe o powiat przemyski i włość ziemiańską bruchnalską.

Od wschodu miał górno-wereszycką połać starostwa grodeckiego i obejmował miasto Jaworów z dziewięcioma wsiami, uprawiającemi wtenczas 131·5 łanów, co przy powierzchni 4.6 mil kwadrat. dawało trzy wsie na jedną milę, a na jedną wieś przeciętnie 14·6 łanów.

Obszar drugi leżał na wschód od poprzedniego u granicy powiatu bełzkiego od północy, lecz już po za działem górnym starostwa grodeckiego, na dorzeczu dopływów Raty. Od wschodu dotykał włości ziemiańskiej Winnickiej, od południa miał drobne działki starostwa lwowskiego. Obszar ten wynosił 2·5 mili kwa-

[1]) Th. Pirawski: Relationes (wydanie K. Hocka), str. 102.

drat. o 3 wsiach królewskich z 45 łanami. Zatem na jedną milę kwadrat. 1·4 wsi i 15 łanów na wieś.

Po za tem należała do obszaru pierwszego, odosobniona wśród włości bruchnalskiej, wieś Mołoszkowce z 3·25 łanów.[1])

Andrzej Górka objąwszy starostwo jaworowskie, powodowany poczuciem sprawiedliwości względem zamieszkujących Jaworów Rusinów, którzy w braku przybytku bożego, musieli chadzać na nabożeństwa do sąsiednich wsi i znacznych doznawali uciążliwości w wykonywaniu praktyk religijnych, ufundował dla nich na wielkiem przedmieściu jaworowskiem w r. 1568 cerkiew pod wezwaniem Wniebowstąpienia Panny Maryi, osadził przy niej popa i dodał łan pola z kawałkiem łąki.

Miasto rozwijało się pomyślnie, powstawały co raz to nowe cechy a i obcy osiadali w niem, znachodząc możność zarobku, to też ożywiony najlepszemi chęciami dla rozwoju zaniedbanych przedtem miast na Rusi, obdarzył król Zygmunt August Jaworów prawem magdeburskiem z mocy przywileju, wydanego w Lublinie dnia 2. lipca 1569 r.[2]) Prawo to było największem dobrodziejstwem w szeregu wszystkich innych, jakiemi wogóle można było jakieś miasto obdarować.

Początek wzięło ono w Magdeburgu, gdzie je spisał w pierwszych latach XIII. wieku niejaki Erhart von Repgow i nazywało się zwierciadłem saskiem *(der Sachsenspiegel)*. Przybyło ono do Polski razem z niemieckimi osadnikami, a od miasta, w którem zostało spisane, otrzymało nazwę magdeburskiego.

W początkach nadawano to prawo osadom czysto przez Niemców zamieszkałym, z czasem jednak przyznawali je królowie polscy niekoniecznie osadom niemieckim.

Polegało ono zasadniczo na wolności samoistnego rządzenia się miast, wyjmowało miasta niem obdarzone z pod powinności i ciężarów krajowych i nadawało im nie tylko autonomiczny samorząd administracyjny, lecz także własne sądownictwo i prawo miecza.

Wyrazem samorządu miasta na prawie magdeburskiem, zwanem także „prawem niemieckiem“, były dwie władze:

1. Rada z burmistrzem, jako urząd administracyjny i
2. Ława z wójtem, jako władza sądownicza.

---

[1]) Jabłonowski Aleks.: „Polska w XVI. wieku“.
[2]) Akta grodz. lwow. T. 361, str. 576.

Te dwa działy razem z szeregiem pomniejszych urzędów podwładnych, tworzyły Magistrat.

Po za temi dwoma władzami stała jeszcze:

3. Gmina, złożona ściśle z mieszczaństwa katolickiego, dzielącego się na kupców i rzemieślników, ujętych w organizacyę cechową, z własnymi reprezentantami, którym przysługiwało prawo brania pośredniego udziału w rządach miasta.

Te trzy działy rządów miasta stanowiły: „Stany“ (ordines).

Rada składała się z rajców (consules) i burmistrza (proconsul), wybieranego z pośród rajców.

Ławę tworzyli ławnicy i wójt, wybierany z pośród ławników.

Radę i Ławę wybierała Gmina, a mogli do nich być powołani tylko ludzie wyznania rzymsko katolickiego.

Rusini, Ormianie, Żydzi i wszyscy innowiercy byli początkowo wykluczeni od prawa obieralności.

Nadanie jakiejś miejscowości prawa magdeburskiego nie zwalniało go jednak z pod praw zwierzchniczych króla i państwa.

Równocześnie z nadaniem prawa magdeburskiego obdarzył król Zygmunt August miasto Jaworów z mocy tego samego przywileju innemi jeszcze dobrodziejstwy.

Przyznał mu prawo wieczyste poboru czynszów z drewnianego ratusza, wystawionego kosztem miasta w pośrodku rynku, a za opasanie miasta parkanem z wałami, kosztem mieszkańców, przyznał mu dochód z woskobójni (przedtem należny skarbowi państwa), oraz pozwolił na odbywanie jarmarków w dniu Przemienienia Pańskiego i na 11.000 Panien, jakoteż na targi tygodniowe co poniedziałku i piątku przez cały rok.

W r. 1572 powstała cerkiewka filialna na małem przedmieściu, lecz niewiadomo kto ją ufundował. Cerkiew tę uposażył Andrzej Górka przywilejem z dnia 12. kwietnia 1573 ćwiercią pola, w objętości 20 morgów 1212 sążni, a nosiła nazwę „Cerkwi Narodzenia Najśw. Panny Maryi.[1])

Nadanie samorządu podniosło Jaworów w znaczeniu i uczyniło go rozgłośnem, a rozgłos ten wzrósł znacznie i poszedł po całym kraju, gdy z polecenia króla Stefana Batorego zbadał w r. 1578 lekarz królewski Wojciech Oczko wody siarczane w Szkle, miejscowości w bezpośredniem sąsiedztwie z Jaworowem i na-

[1]) Akta c. k. Prokuratoryi Skarbu.

stępnie opisał w obszernym wywodzie właściwości tej wody i skuteczną jej działalność w pewnych cierpieniach.

Od tego czasu przybrały źródła szkielskie nazwę „Wód jaworowskich“ a liczni chorzy nawet z najwyższych sfer szukali tam różnemi czasy ulgi, zwłaszcza w cierpieniach reumatycznych i w nerwobolach.

Później opisał „Wody jaworowskie“ lekarz Erazm Syxt [1]) i podniósł wysoko właściwości lecznicze tamtejszej siarki, „która nigdy nie traciła swej skuteczności.

W wspomnieniach swoich o pobycie w Polsce poświęca pochlebną wzmiankę „wodom jaworowskim“ podróżnik francuski E. Savage.

Po śmierci Andrzeja Górki, starosty jaworowskiego, nadał król Stefan Batory to starostwo Janowi Zamojskiemu, kanclerzowi i wielkiemu hetmanowi koronnemu, w uznaniu niepospolitych usług, oddanych królowi i państwu. Dyplom nadania tego nosi datę: Grodno, dnia 8. lutego 1580.[2])

Ludność miasta wzrastała szybko, z każdym rokiem pomnażał się dobytek mieszkańców i na całym obszarze zapanował dobrobyt. Napływali rzemieślnicy z okolicznych miasteczek i niebawem było za ciasno tym wszystkim, którzy osiedlili się w Jaworowie. Miasto zabudowało się gęsto nie tylko wewnątrz, ale nawet na dalej wysuniętych przedmieściach powstały liczne sadyby i dworki.

Przeważała ludność ruska wyznania wschodniego i doszło do tego, że istniejące już dwie cerkwie nie mogły nawet połowy pobożnych pomieścić. Zaradzając tej potrzebie zezwolił król Zygmunt III. przywilejem z dnia 2. listopada 1588 [3]) na pobudowanie trzeciej cerkwi w Jaworowie, która stanęła u wylotu śródmieścia ku drodze, wiodącej do Sądowej Wiszni i otrzymała nazwę: Cerkwi pod wezwaniem św. Jerzego (Jura).

W r. 1605 otrzymał starostwo jaworowskie Hieronim Sieniawski, chorąży koronny i pozostawał na niem do swej śmierci, t. j. do r. 1615.

Następcą Sieniawskiego został z przywileju króla Zygmunta III., wydanego w r. 1616, Stanisław Żółkiewski, wielki hetman koronny.

---

[1]) Erazm Syxt: „O cieplicach w Szkle“ ksiąg troje.
[2]) Rkps. Bibl. Ossol. Nr. 261, str. 455.
[3]) Akta grodz. lwow. T. 364, str. 1116.

Za jego czasów powstaje w Jaworowie klasztor OO. Dominikanów, którzy zbudowali sobie drewniany kościółek z takimże parterowym domkiem na pomieszczenie trzech zakonników.

Przybycie OO. Dominikanów do Jaworowa przypada wprawdzie już na r. 1609, ale kościół i klasztor powstał dopiero w r. 1619. Kościół i klasztor OO. Dominikanów fundował Piotr Malawski, dzierżawca Starzysk, wraz z żoną Łucyą i przeznaczył na utrzymanie klasztoru aktem darowizny, sporządzonym w Starzyskach dnia 5. października 1615: „Dom z ogrodem i jego przynależnościami w Jaworowie na małem przedmieściu, przy samym gościńcu położony na dolinie t. z. Czerkawskiej, przytykający tylną częścią do wału miejskiego.

W następnych latach wykupili OO. Dominikanie już z własnych funduszów niektóre kawałki gruntu przytykające do ich posiadłości.[1])

Poświęcenia kościoła dokonał ks. biskup Pirawski, sufragan lwowski, w dniu 9. maja 1629.

Pierwszymi zakonnikami w jaworowskim klasztorze byli: O. Laurenty Budzyński przeor, O. Stanisław Bar superior, O. Jordan Skrzynno, Brat Antoni organista, Brat Melchior zakrystyan.

W okresie starostowania Sieniawskiego i Stanisława Żółkiewskiego wywiązały się liczne spory między mieszczanami jaworowskimi a rajcami miejskimi, którzy nadużywając swej władzy uciskali mieszkańców wbrew prawu i słuszności wygórowanemi daninami i różnemi świadczeniami na rzecz miasta.

Spory te opierały się o sądy starościńskie i wojewódzkie, jednak bezskutecznie, a doprowadzeni do rozpaczy mieszczanie udali się wprost pod opiekę samego króla i uzyskali przychylny dla siebie wyrok, wzywający burmistrza i rajców, żeby pod srogiemi grzywnami zaprzestali niepokoić skarżących się. Również w sporach mieszczan z jaworowskim proboszczem, ks. Piotrem Brodowskim, o pobór mesznego, które doprowadzały do częstych scen gorszących i groziły niebezpiecznemi zaburzeniami, rozstrzygnął dopiero sam krol Zygmunt III., ustalając po wieczne czasy normę tych świadczeń.[2])

O bezustannym wzroście Jaworowa świadczy wymownie okoliczność, że drukarz Jan Szeliga przeniósł w r. 1619 swą drukar-

[1]) Akta c. k. Prokuratoryi Skarbu.

[2]) Akta grodz. lwow. T. 366, str. 762—763.

nie z Jarosławia do Jaworowa. Tam drukował głośne dzieło ks. Gabryela Leopolity zakonu kaznodziejskiego, p. t. „Oratorium Palaczu duchownego“.[1]) W drukarni Jana Szeligi w Jaworowie wyszły też r. 1619 ks. G. Leopolity „Przysmaki duchowne“.

Stanisław Żołkiewski legł śmiercią bohaterską pod Cecorą dnia 6. października 1620. a król Zygmunt w uznaniu zasług wielkiego hetmana nadał przywilejem z dnia 8. sierpnia 1622 r. starostwo jaworowskie jego synowi Janowi, który odznaczył się męstwem w wojnach z Tatarami i także został ranny pod Cecorą.[2])

W roku 1620 posiadał Jaworów już dwa kościoły łacińskie, t. j. farny i OO. Dominikanów, oraz trzy cerkwie grecko-kat. W ślad za osiedleniem się Dominikanów zjawiły się w r. 1621 dwie mniszki zakonu ruskich Bazylianek i zakupiły na tymczasowe swoje pomieszczenie dwa domy tuż obok cerkwi świętego Jura.

---

[1]) Na karcie tytułowej „Oratorium Palaczu“ umieszczono, że książka została wytłoczoną w r. 1619. w drukarni Jana Szeligi. na przedmieściu jaworowskiem, przy kościele św. Michała.

Ztąd wysnuwa Jerzy Samuel Bandtke w swojej „historyi drukarni w Polsce“ (T. I. str. 399) wniosek, że drukarnia ta istniała w owym czasie w Jarosławiu lub we Lwowie pisząc: „nie wiem atoli czy to przedmieście jaworowskie we Lwowie czy Jarosławiu?“

Jan Szeliga przenosił wprawdzie swoją drukarnię z miejsca na miejsce i był z nią pierwotnie w Dobromilu, potem w Jarosławiu do końca r. 1613, w r. 1621 mamy książki z jego drukarni we Lwowie. zkąd przeniósł się ostatecznie na stały już pobyt do Krakowa. (Jerzy S. Bandtke. „Historya drukarni w Polsce“. T. I. str. 118. 119. 303. 399).

Druk książki ks. Gabryela Leopolity przypada właśnie na okres czasu między pobytem Szeligi w Jarosławiu (do r. 1618) i we Lwowie (od r. 1621).

Karol Estreicher w swej bibliografii w dziale: „Spis drukarni w Polsce“ (T. 8. str. 169) podaje stanowczo. że Szeliga drukował „Oratorium Palaczu duchownego“ w Jaworowie, w drukarni przy klasztorze OO. Dominikanów. Podanie Estreichera jest zupełnie uzasadnione. a potwierdza je okoliczność, że ani we Lwowie ani w Jarosławiu nie istniał nigdy żaden kościół pod wezwaniem św. Michała na przedmieściu jaworowskiem, chociażby dlatego, że w żadnem z tych miast nie było przedmieścia tej nazwy — natomiast jest udowodnione oryginalnym aktem fundacyjnym, zeznanym przez Filipa Rykowskiego. fundatora kościoła i klasztoru OO. Dominikanów w Jaworowie. „że kościół pod wezwaniem św. Michała, na przedmieściu małem jaworowskiem, dostał się w posiadanie Ojcom Dominikanom“.

[2]) Akta grodz. lwow. T. 54. str. 1219—1221.

W jednym z tych domów urządziły kaplicę, a drugi przeznaczyły na tymczasowe mieszkanie.

Przy odbiorze starostwa przez komisyę królewską po śmierci Stanisława Żółkiewskiego, przeprowadzono w r. 1621 lustracyę całego majątku, z której czerpiemy tu daty, odnoszące się do ówczesnego stanu miasta Jaworowa.

Lustratio starostwa jaworowskiego anno D. 1621:

Domów: w Rynku 32, oprócz tego radziecki, wójtowski i organisty.

W ulicy Farnej 29 — ku młynowi 15 — na przemyskiem 66 — na jarosławskiem 10 — na lwowskiem 40. — W tem żydowskich 23.

Chałup zagrodników 151, chałupników 33.

Rzemieślników: Szewców 21, kowali 10, rzeźników 16, krawców 9, garncarzy 27, garbarzy 33, kowali 4.

Są cztery młyny a szczegółowo: Awedykowskiego, Szumiły, Charchalisów i Czajków.

Z wszystkich rzemiosł uprawianych w Jaworowie najpomyślniej rozwijało się szewstwo, a cech butarski, bo tak go ochrzcili tamtejsi mistrze kunsztu szewskiego, miał wielkie poważanie i wziętość w całej okolicy.

Czyniąc więc zadość rzeczywistej potrzebie, pozwalają burmistrz i rajcy miasta Jaworowa, dekretem z dnia 6. grudnia 1622, na pomnożenie dotychczasowo przyzwolonych dziesięciu jatek szewskich do liczby szesnastu.

Tym samym aktem wydają zakaz rzeźnikom miejscowym sprzedawania skór z zabitych bydląt po za obrębem miasta, a wyłącznie sprzedawać mają szewcom jaworowskim według stale ustanowionych cen.

Dekret ten został wydany na ręce ówczesnych cechmistrzów Pawła Łaszcza, Eliasza Bubeli i Mikołaja Cholewki.

Jako burmistrz miasta podpisany Grzegorz Morecki.[1])

Posiadał Jaworów browar piwny, należący do skarbu i woskobójnię.

Jan Żółkiewski niedługo pozostawał w posiadaniu starostwa jaworowskiego, umarł bowiem zaraz w następnym roku, z powodu odnowienia się rany, otrzymanej pod Cecorą. Następcą jego został Stanisław Kazanowski, z mocy przywileju króla Zygmunta III., wydanego 7. lipca 1625 r., a że od dłuższego czasu

[1]) Akta grodz. lwow. T. 378, str. 213.

rozgrywał się spór graniczny między jaworowskimi starostami a właścicielami Bruchnala i Czołhyń, wyznaczył król komisyę dla oznaczenia właściwych granic starostwa w spornych punktach. [1])

Po Kazanowskim dostało się starostwo jaworowskie Janowi Wandalinowi Mniszchowi, łowczemu królewskiemu, w r. 1635.

Z tych czasów istnieją dwa ważne dokumenta, odnoszące się do spraw miasta.

Jednym jest przywilej króla Władysława IV. z r. 1635. którym po raz pierwszy od czasu rządzenia się miasta prawem niemieckiem, zezwolił król na dopuszczenie do rady miejskiej jednego rajcy Rusina, również i jednego ławnika tego wyznania, do składu ławy sądowej.

Drugim aktem jest przywilej Jana Wandalina Mniszcha, starosty jaworowskiego, z dnia 7. lutego 1637 r., przyzwalający żydowskiemu kahałowi w Jaworowie zapisać sumę 5.710 złp. na fundacyę ołtarza Pana Jezusa, w tamtejszym kościele parafialnym.

Dokument rzeczony opiewa dosłownie:

„Jan Wandalin Mniszech, łowczy koronny, starosta jaworowski, oznajmuję tym moim Consensem komu o tem wiedzieć należy, iż pro autoritate mea Capitaneatis mając tego rationes permoventes, tudzież upatrując decorem kościoła farnego w mieście Jaworowie, na fundamencie pewnej przyjacielskiej z Jegomością księdzem Wojciechem Freyczakowskim, comendarzem jaworowskim, combinacyjej, officio consistoriali Archidyecezyj lwowskiej aprobowanej i autoritate superiorum potwierdzonej, pozwalam kahałowi jaworowskiemu zapisać sumę 5.710 złp, cum censu anno po 400 złp. na Altaryą w tymże kościele farskim scriptum Erectionis fundanda et eregenda y na to dając ten mój konsens, podpisem ręki mojej przy pieczęci stwierdzam.

Datum we Lwowie die 7. februarii anno Domini 1637.

Konsens czy pozwolenie to zatwierdził król August III. w r. 1746, o cały wiek zatem później, dodając w końcu klauzulę: ...ut summam 5.710 flor. cum censu annuo per florenos septem a quolicet centum pendendam in rem Altaristae Sacratissimi Corporis Christi Domini nostri Jesu Christi in Ecclesia javoroviensi infideles judaei super Synagogam Scholaque sua judaica inscriberent.[2])

---

[1]) Tamże, str. 1853—1856.

[2]) Akta grodz. lwow. T. 538, str. 1509—1510.

Ciężką klęskę poniosło miasto w r. 1636 wskutek pożaru, który powstał z niewiadomej przyczyny. Rozszalały żywioł obrócił wszystko w perzynę. Wypaliły się domy w całem śródmieściu, z dymem poszła część wielkiego przedmieścia razem z cerkwią, ocalała tylko część od strony małego przedmieścia z kościołem farnym, klasztorem Dominikanów i z a m k i e m.

Pierwszą wzmiankę o istniejącym w Jaworowie zamku podaje nam dopiero opis tej pogorzeli. Przedtem nie ma nigdzie żadnego śladu, żeby w mieście był jakiś pałac lub zamek. A jednak musiały istnieć obszerniejsze zabudowania, w których mieszkali, jeżeli nie sami już starostowie, to przynajmniej podstarości i inni oficyaliści.

Wprawdzie Kazimierz Wielki po wcieleniu Rusi do Korony polskiej pobudował na wschodnich kresach cały szereg warownych zamków i forteczek przeciw bezustannym napadom Wołochów, Turków i Tatarów, ale Jaworów leżał już więcej w głębi kraju, nie był także starostwem grodowem, to znaczy: przeznaczonem na jedną z placówek obronnych, nie został więc w owych czasach zbrojnie opatrzony. Świadczy o tem późniejsze dopiero uzbrojenie go w armaturę z własnych funduszów przez Jana Sobieskiego.

Zamek, o którym wspomina opis pogorzeli Jaworowa w r. 1636 był większem zabudowaniem z materyału drzewnego, przeznaczonem w onczas wyłącznie na pomieszczenie właściciela, jego oficyalistów i domowników, był on typu ogólnego zameczków (fortalicyów) na Rusi.

Podczas ognia r. 1636 zgorzały także dwa domy, gdzie tymczasowo umieściły się przybyłe przed rokiem mniszki Bazylianki. Siostry zakonne zostały zupełnie bez dachu, lecz przyszła im z pomocą mieszczka jaworowska, Małgorzata Hryszkówna, darowała obszerny grunt swój pod budowę przyszłego klasztoru, który zbudowała własnym kosztem z materyału drzewnego, przy pieniężnej pomocy ze strony przemyskiego biskupa, Jerzego Winnickiego.

Sama wstąpiła do zakonu i była w nim pierwszą ksienią (игумению).[1]

Starostwo jaworowskie dzierżawił bez przerwy, począwszy od r. 1580, gdy zostało nadanem Janowi Zamojskiemu szlachcic

[1]) Korotkij pohlad na monastyri i monaszestwo z r. 1867, str. 23. „Peremyślanin“ z r. 1854, str. 92 i 127 — z r. 1856, str. 13 — z r. 1858, str. 21.

z ziemi radomskiej Filip Rykowski. Ośmdziesięcioletni przeszło starzec, czując w ocaleniu przed pożogą swego dobytku palec Boży, powziął myśl uczynienia ofiary na chwałę Przedwiecznego. Aktem fundacyjnym, spisanym na zamku jaworowskim, dnia 13. maja 1639[1]) zapisał OO. Dominikanom w Jaworowie wybudowany przez siebie kościół z twardego materyału, którego konsekracyi dopełnił biskup chełmski, ks. Jacek Święcicki.

Niesiecki podaje w „Koronie polskiej“: „że Filip Rykowski ufundował w Jaworowie murowany kościół parafialny pod wezwaniem św. Piotra i Pawła“, lecz tem podaniem odbiega wprost od własnoręcznego aktu fundacyjnego Filipa Rykowskiego, który w odnośnym ustępie brzmi dosłownie:

„Ja Filip Rykowski zeznawam tym pisaniem moiem, iż kościół św. Michała na przedmieściu małem jaworowskiem dostał się w posesyę OO. Dominikanom w taki sposób, jaki jest zeznany przez JMC. Pana Piotra Kołakowskiego starego, który był odemnie budowniczym tego kościoła postanowionym, na com y koszt swóy ważył i t. d.

Data w Jaworowie na Zamku die 13. Majii Anno Domini 1639. Philipp Rykowski m. p.

Wprawdzie kościół ten odebrany po zaborze Galicyi przez rząd austryacki OO. Dominikanom, został przeznaczony na kościół parafialny i od tamtego czasu nosi nazwę kościoła pod wezwaniem św. Piotra i Pawła, lecz stało się to prawie w sto pięćdziesiąt lat po jego zbudowaniu, bo w r. 1778.

Z dotychczasowego wywodu, opartego ściśle na istniejących materyałach historycznych nie odegrał Jaworow wybitniejszej roli w dziejach ani samego starostwa, a tem mniej w dziejach Rzeczypospolitej. Wzrastał stopniowo wsród normalnych warunków, lecz niczem wybitniejszem nie zaznaczył się w historyi naszych miast i miasteczek.

Nadeszła jednak chwila, która nadała mu rozgłos nie tylko w kraju, ale daleko po za granicami. Nazwa skromnego zakątka na ruskiej ziemi odbiła się głośnem echem we Francyi, zasłyszał o Jaworowie Wiedeń, Rzym, Petersburg, nawet Konstantynopol. Najpierwsi dygnitarze dyplomatyczni, książęta kościoła, apostolscy nuncyusze, ambasadorowie najpotężniejszych mocarstw stąpali po

---

[1]) Oryginał aktu fundacyjnego, przechowany w kościele parafialnym w Jaworowie.

bruku jaworowskim, a wielu z nich wspomina o tem mieście w swych pamiętnikach.

W tej zapadłej mieścinie rozgrywały się sprawy europejskiego znaczenia, tam zawierano układy z sąsiednimi mocarzami i ztamtąd wychodziły hasła dziejowego znaczenia.

Po śmierci Jana Wandalina Mniszcha dostało się starostwo jaworowskie w r. 1639 Jakóbowi Sobieskiemu, wojewodzie ruskiemu, z prawem dziedzictwa aż w trzecie pokolenie.

Jakób Sobieski osobiście rzadko się pojawiał w Jaworowie, przenosząc nad wszystkie inne miasta ukochaną Żółkiew, pamiętał jednak o nowo objętem starostwie i całem szeregiem przywilejów uposażył miasto, jego mieszkańców i poszczególne cechy, nie zapomina także i o kościołach.

I tak przywilejem z dnia 25. kwietnia 1642 [1]) zezwala na prośbę bractwa przy cerkwi św. Jura, żeby odtąd zarząd cerkwi i majątku cerkiewnego objęło niepodzielnie to bractwo, a że pop przy tej cerkwi mieszkający nie miał z niej żadnego utrzymania, wyznaczył popostwu po wieczne czasy półtora łana pola i ogród, oraz kawałek łąki.

W ośm lat po objęciu starostwa jaworowskiego zmarł Jakób Sobieski w r. 1647 a prawem dziedzictwa objął starostwo Jan z Sobieszyna Sobieski.

Zanim przystąpimy do dalszych wywodów historycznych, odnoszących się do Jaworowa, w tej najciekawszej epoce jego rozwoju i znaczenia, uważamy za konieczne rzucić okiem, chociażby tylko pobieżnie na prywatne i domowe stosunki Jana Sobieskiego, których bliższe poznanie wyświetli nam w nagiej prawdzie niejeden doniosły fakt i niejedno zdarzenie, pozostające w analogicznym związku ze sprawami światowej doniosłości i wywierających często przeważny wpływ na ukształtowanie się pewnych stosunków w odniesieniu do spraw państwa.

Jan Sobieski był młodszym synem Jakóba, wojewody ruskiego i drugiej jego żony Teofili z Daniłowiczów. Urodził się 17. sierpnia 1629 r. na zamku w Olesku i przeważną część swej młodości przepędził na dworze francuskim, gdzie nabrał oglady towarzyskiej i wykwintnych form, co mu wcale nie przeszkadzało w zachowaniu całej zamaszystości prawdziwie sarmackiej i szczerości w całem obejściu.

---

[1]) Akta grodzk. lwow. T. 396, str. 358.

Zakochał się w pięknej pani Zamojskiej, z domu markizie de la Grange Araquin, młodszej co najmniej o lat 40 od swego męża.

Zalotna francuska, przykuta do boku starego męża, odnosiła się z pewną sympatyą do przystojnego i wyróżniającego się z pośród całego otoczenia młodego pana Chorążego, utrzymywała z nim bardzo ożywioną korespondencyę za życia męża pana, a nawet myślała o rozwiedzeniu się ze staruszkiem, żeby poślubić młodego Seladona.

O ile jednak Sobieski był bałwochwalczo zaślepiony w pięknej Marysience, jak nazywał Maryę Kazimierę Zamojską, o tyle chytra francuska obok może pewnego pociągu ku jego osobie łączyła zimną rachubę. Od chwili pierwszego poznania wywierała na młody i porywczy umysł Sobieskiego wpływ nieograniczony i umiała młodego zapaleńca zawsze nagiąć do swoich planów i zamiarów.

Ta ślepa uległość względem ukochanej, nie straciła na sile gdy nawet została już jego żoną i przetrwała do godziny skonu naszego bohatera.

Ileż to razy uległość Sobieskiego jako wielkiego hetmana i marszałka a później jako króla wobec żony zaznaczyła się ujemnie na jego publicznej działalności? często znalazł się w tak przykrem położeniu, że tylko ofiarą najświętszych przekonań wypływał obronną ręką.

Z drugiej strony niepomierna rozrzutność skapryszonej kobiety musiała w nim budzić pragnienie skarbów, żeby uchowaj Boże Marysience nie zbywało na niczem.

Z tego powodu posądzano Sobieskiego o chciwość, zarzucano mu, że ugania się za wszelkiego rodzaju synekurami i gromadzi milionową fortunę.

Może i nie bez podstawy podejrzywano go, że pobiera znaczne subsydya z Francyi za popieranie Kondeusza na tron polski i za akcyę dążącą do zdetronizowania Jana Kazimierza.

Podobne sądy stawały się głośnemi, chociaż często brakowało im racyonalnych przyczyn, ale plotka wspierana zawiścią biezy lotem błyskawicy i zakreśla co raz szersze koła.

Można Sobieskiemu zarzucić niejedno z jego życia prywatnego, co jednak w niczem nie ujmuje jego chwały jako bohatera i wiernego a dzielnego obrońcy ojczyzny.

Helzel w swej przedmowie do wydawnictwa listów Jana Sobieskiego słusznie daje o nim taki sąd:

„Sobieskiego należy oddzielić od jego stosunków prywatnych, nie kwalifikujących się do historycznego traktowania, a patrzeć na niego wyłącznie ze stanowiska jego publicznej działalności. Zurzucają Sobieskiemu, że był chciwy grosza... prawda! — ale żądzę skarbów zrodziła potrzeba zaspakajania fantastycznych wymogów ubóstwianej żony, której dzielny bohater nie miał siły się oprzeć, wytworzyło wychowanie, które usposobiło go do łatwego życia i lekkich rozrywek, a jednak oddaje on ostatni grosz na potrzeby ojczyzny, gdy ta znachodzi się w kłopocie, z własnych środków pokrywa zaległe wojsku lenunki i t. d.“

Edward Webersfeld.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODP. REDAKTOR ADAM KRECHOWIECKI. — NAKŁAD „GAZETY LWOWSKIEJ“.